Nr. 183. Lwów — Środa dnia 12 Sierpnia. Rok 1903.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcznie 2 k. 20 h; w Niemczech . . . 3 „ — „; w innych Państwach . . 4 „ — „. Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu. Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

# PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9. Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: dłuższym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem . . . 6 h. koresp. prywatne . . . 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . . 60 h

Dziś: Śr. | św. Klary P. | Silasa
Jutro: Czw. | św. Hipolita | Eudocyma

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o godz. 4 m. 57
Zachód „ „ 7 m. 9

Długość dnia godzin 14 minut 12
Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

## Instytucye dobroczynne we Lwowie.

*I. Dom pracy.*

U wylotu ulicy Św. Piotra, przy samym zbiegu jej z ulicą Kochanowskiego, tuż za cmentarzem Łyczakowskim, wznosi się okazały, jednopiętrowy budynek o wysokim parterze, opasany dokoła drewnianym parkanem. Cały czerwony, z nieotynkowanej cegły zbudowany, odbija wyraziście od zieleni otaczających go drzew liściastych i szpilkowych i już temsamem mimowolnie zwraca na siebie uwagę przechodni.

Jest to „Dom pracy", zakład, w którym — według określonych statutami przepisów — otrzymują niezdolni do pracy, a ubodzy starcy i kalecy przytułek i wsparcie, zdolni zaś do pracy ubodzy odpowiednie zatrudnienie i skromny zarobek.

Założony lat temu z górą dwadzieścia, dzięki zabiegom i ofiarności szczupłego grona ludzi dobrej woli, zgrupowanych około Towarzystwa miłosierdzia pod godłem „Opatrzność", zakład ten wiele musiał trudności pokonać, wiele przeszkód usunąć, zanim stanął wreszcie na tej wyżynie, na której stoi obecnie. Zajmuje on bowiem wśród lwowskich instytucyj dobroczynnych, przeważnie starszych od niego wiekiem i w znacznej części o wiele lepiej materyalnie sytuowanych, stanowisko niemal pierwszorzędne, a dla niejednej z nich powinienby stać się wzorem, jak to najskromniejszemi nawet środkami, byle rozumnie i gospodarnie, a przytem z prawdziwem zamiłowaniem, szerzyć można i należy dzieło miłosierdzia.

Najłatwiej jednak przekonać się o tem na podstawie cyfr, a są one rzeczywiście imponujące.

Zacznijmy od cyfry ubogich, którym „Dom pracy" udziela bądź całkowitego utrzymania wraz z przytułkiem, bądź częściowego tylko wsparcia przez dostarczanie im zarobku. I cóż się okaże? Oto, gdy w roku założenia zakładu, a więc w r. 1880, było w „Domu pracy" zajętych ogółem 634 ubogich, mężczyzn i kobiet, w dziesięć lat później liczba ich wzrosła do 1099, a w roku ubiegłym do 1279.

Cyfry te starczą za największe pochwały, mówią bowiem same za siebie najlepiej i najwymowniej świadczą nietylko o wielkiej żywotności tej instytucyi, ale — co więcej — o rozumnej i racyonalnej gospodarce funduszami, na jej utrzymanie przeznaczonymi. Bo myli się każdy, ktoby sądził, że fundusze te są stałe, że można rozporządzać nimi zawsze z góry, to znaczy: z góry ustanowić budżet i stosownie do niego rozłożyć wydatki. Rzecz się ma zupełnie przeciwnie. „Dom pracy" żyje i utrzymuje się przedewszystkiem z jałmużny, z drobnych, ręką litościwą rzucanych do skarbonek datków, oraz z wynagrodzenia za roboty wykonywane przez ubogich zakładowych, a jedyne jego względnie stałe fundusze — to roczne subwencye od miasta i kraju, tudzież wkładki członków, których Towarzystwo liczy obecnie około 350. Ale subwencye te i wkładki członków nie pokrywają nawet połowy wydatków, potrzebnych corocznie na utrzymanie zakładu, a wynoszących rocznie przeciętnie 20.000 K., resztę więc potrzeba zebrać drogą jałmużny. I tu dopiero podziwiać należy pracę i oddanie dla sprawy instytucyi tych dziesięciu Sióstr Józefitek, które mają zakład pod swoją opieką i tej garstki ludzi dobrej woli, którzy stoją na czele zakładu. Przyzna bowiem każdy, że zebrać za pomocą jałmużny w tak ciężkich czasach w ciągu jednego roku przeszło 10.000 K., to rzecz wcale nie łatwa. Ale dla Sióstr Józefitek nie istnieją żadne zgoła trudności; nic ich zniechęcić nie zdoła, nic odwieść od żmudnej i niewdzięcznej pracy dla dobra zakładu i tych biedaków, którzy mają w nim pomieszczenie. Od rana do wieczora krążą one od domu do domu, od drzwi do drzwi, jedna z nich zawsze z dobrze znanym na bruku lwowskim osiołkiem, nierzadko po to, ażeby po całodziennej takiej wędrówce wrócić w mury „Domu pracy" z plonem, nie przenoszącym nieraz dwóch koron. Lecz Siostry Józefitki, same do małego przyzwyczajone, wielkich żądań nie mają i byle grosz, byle kęs chleba, byle łachman odzieży, za pomocą jałmużny w tak trudnych warunkach zakładowi przysporzony, jest dla nich skarbem niemal i to tem droższym, im trudniej, im mozolniej zdobytym.

Tak, ale skarbem takim zawiadować i rozumnie go używać do celów swoich potrafi tylko ten, kto zna tajemnice oszczędności, kto ani jednego grosza nie wyda bez potrzeby, ani jednego grosza nie zmarnuje. A Siostry Józefitki są w tym względzie prawdziwie mistrzyniami, kto zaś pragnąłby się osobiście o tem przekonać, niech poświęci godzinkę czasu na zwiedzenie pozostającego pod ich kierunkiem i dozorem zakładu, a zdumienie go ogarnie, gdy zobaczy, jak ten zakład zagospodarowany, jaki w nim ład i porządek, i jaki, mimo tak szczupłych zasobów, dobrobyt.

Ten „Dom pracy" — to formalnie małe państewko, rządzące się własnemi prawami, mające swoich własnych poddanych i własny przemysł, słowem: wszystko własne, choć oparte na dobroczynności publicznej. Bo i cóż tam nie ma?

Zacznijmy od samego budynku.

W suterenach jego mieszczą się: w szczupłych wprawdzie, ale niezwykle praktycznie urządzonych salkach: pralnia, maglarnia, prasowalnia, stolarnia i piekarnia, w której wypieka się codziennie przeciętnie 90 bochenków chleba, a ponadto jeszcze kuchnia i obok niej wspólna jadalnia. Wszystko schludne, czyściutkie, w największym porządku. Parter i piętro służą w znacznej części na sypialnie dla prebendaryuszy zakładu; przeznaczonych jest do tego celu kilkanaście pokoi, w połowie dla mężczyzn, a w połowie dla kobiet, każdy o ośmiu łóżkach ze stojącymi w wezgłowiu szafkami nocnemi. Są dalej dwie duże pracownie, jedna męska, druga żeńska, w których ubodzy zakładowi to robią pudełeczka lub nasypują do woreczków po odważeniu farbkę do bielizny, to skubią pierze lub grempią włosień, to wreszcie wyrabiają krochmal lub naprawiają bieliznę itp. Ponadto mamy jeszcze dwie ubikacye, przeznaczone na szpital, osobno dla mężczyzn, osobno dla kobiet, dalej pokoik na kancelaryę zakładu, a wreszcie dwa szczupłe pokoiki dla Sióstr, których jest tam obecnie dziesięć. Jest jeszcze ponadto własna kaplica, w której odprawia się w niedzielę i święta, a niekiedy i w dni powszednie, nabożeństwo.

Tak mniej więcej przedstawia się sam budynek zakładowy. A jeżeli zwiedza się go z żywem zainteresowaniem i podziwia praktyczność w jego urządzeniu, to o ileż bardziej interesującą przedstawi się nam część gospodarcza zakładu, która jest tak wzorowo prowadzona, że Siostry Józefitki chlubić się istotnie nią mogą.

Z czegóż się składa to gospodarstwo?

Oczywiście, przedewszystkiem z ogrodu. Liczy on parę morgów wyborowego gruntu, a od czasu, jak zajmują się nim, jest w nim wszystko, czego w racyonalnie prowadzonem gospodarstwie brakować nie powinno. Niezbyt wiele znajduje się w nim prześlicznych sad, ale są także wszelkiego rodzaju jarzyny a nawet trochę zboża. Dzięki tak praktycznemu zużytkowaniu ogrodu, zarząd „Domu pracy" nie potrzebuje zupełnie kupować produktów roślinnych dla zakładu, wszystko to bowiem ma własne. Owoce zaś sprzedaje, przysparzając w ten sposób funduszom zakładu rocznie około 1500 koron.

„Dom pracy" posiada jeszcze: sześć krów, konika służącego do rozwożenia wypranej bielizny, trochę drobiu, a wreszcie dobrze znanego dziatwie lwowskiej potulnego osiołka, jest więc bardzo dobrze zagospodarowany a gospodarstwo to spoczywa na barkach trzech czy czterech Sióstr i dodanych im do pomocy kilku prebendaryuszy, którzy mają rozdzielone pomiędzy siebie poszczególne czynności. Jeden więc kopie w ogrodzie, inny kosi trawę, inny znowu jest przy krowach, inny przy koniu lub przy ośle itd. Oprócz tych Sióstr i tych kilku prebendaryuszy, samych już prawie niedołężnych starców, nikomu nigdy więcej do pomocy w gospodarstwie z poza obrębu zakładu, a przecież gospodarstwo to znajduje się w stanie tak kwitnącym, że przybysz z zewnątrz podziwia je gdy je bada.

Przypatrzmy się teraz trybowi życia, jaki wiodą mieszkańcy tego zakładu. Jest on w całem tego słowa znaczeniu żołnierski, wszystko w nim bowiem odbywa się z niesłychaną punktualnością i systematycznoście. O godz. 6 rano wszystko, co żyje w zakładzie, z wyjątkiem naturalnie chorych, wstaje do zajęć swoich, które rozpoczynają się po odmówieniu wspólnej modlitwy i spożyciu śniadania, składającego się z kawy i chleba.

Zajęcia trwają do godz. 12 w południe, poczem zasiadają wszyscy do obiadu, na który składa się zwyczajnie rosół lub zupa, oraz jarzyna lub kasza, a po spożyciu go i chwilce odpoczynku wracają znowu prebendaryusze do zajęć i kończą je o godz. 6 wieczorem, na głos dzwonka, wzywającego do wspólnej modlitwy, po której otrzymuje każdy skromną kolacyę w postaci kawy lub krupniku. Po krótkiej pogawędce spoczynek, ażeby na drugi dzień stanąć znowu do zwyczajnych swoich zajęć.

Taki tryb życia wiedzie w „Domu pracy" przeciętnie stu prebendaryuszy, na pomieszczenie bowiem większej ich liczby nie pozwalają szczupłe rozmiary i równie szczupłe fundusze „Domu pracy". Nie tylko jednak sami prebendaryusze muszą stosować się do tego rodzaju trybu życia; równie dobrze, jak ich, obowiązuje on także i siostry Józefitki, które przytem tak samo, jak pozostający pod ich nadzorem ubodzy, mają wyznaczone sobie zatrudnienia. Jedna więc z nich zajęta jest przy gospodarstwie, inna ma pod swoim dozorem kuchnię, inna znowu rozdziela pożywienie i robotę, inna jeszcze dogląda szpitala, inna wreszcie ma nadzór nad pralnią, inna zajmuje się specyalnie ogrodem, dwie chodzą po mieście zbierać jałmużnę na książki do skarbonek, a dwie wreszcie kwestują z osiołkiem, zmieniając się w ten sposób, że jedna z nich odbywa kwestę przedpołudniem, druga popołudniu. Wszystkie te siostry pozostają pod naczelnem kierownictwem siostry przełożonej, która wydaje dyspozycye, wszystkiego dogląda i nad wszystkiem czuwa. Trudne te obowiązki pełniła przez długi szereg lat siostra Elżbieta, obecnie zaś, od kilku zaledwie miesięcy, pełni je siostra Jolanta z dyecezyi przemyskiej. Rodowe jej nazwisko brzmi: Czumińska. Jest to osoba jeszcze młoda, niezwykle inteligentna i wykształcona, a przytem taka łagodna i dobra, że podobno inne siostry nierzadko skarżą się na nią, iż... psuje łagodnością swoją i dobrocią ubogich zakładowych, od których — nawiasem mówiąc — bardzo często wiele znieść trzeba przykrości.

W trudnej pod wieloma względami pracy w zawiadywaniu funduszami „Domu pracy" bardzo pomocnym jest siostrom Józefitkom z poza zakładu radzca p. Edmund Ceypek, oficyalny dyrektor tej instytucyi, który obowiązki spełnia z ogromną, a świadczącą o szczerem zamiłowaniu i przejęciu się gorliwością. Dyrektorem „Domu pracy" jest on z ramienia Towarzystwa „Opatrzność", utrzymującego „Dom pracy", a pozostającego pod przewodnictwem hr. Maryi Badeniowej, która na stanowisku swojem niemałe około rozwoju i podniesienia zakładu położyła zasługi, wsparta wydatną radą i pomocą innych pań dobroczynnych, ugrupowanych około tego, na jak najszczersze poparcie ze wszech miar zasługującego Towarzystwa.

## Sytuacya na Węgrzech.

**Budapeszt** 8 sierpnia.

(∾) Rezultat podróży hr. Khuen-Hedervary'ego na dwór cesarski do Ischlu jest narazie ten, że Cesarz przerywa swój odpoczynek letni zaraz po wizytach monarszych i przybywa do Gödöllö. Już to samo świadczy najwymowniej o tem, jak bardzo zawikłana jest sytuacya. Jest ona dziś o wiele trudniejsza, niż była w dniu 24 czerwca, w którym hr. Khuen-Hedervary obejmował ster rządów.

Hr. Khuen powiózł ze sobą do Ischlu podanie o dymisyę całego gabinetu. Musi on ustąpić, albowiem brutalna opozycya stronnictwa niezawisłości w znacznej mierze skierowaną jest przeciw osobie dzisiejszego prezesa gabinetu. Od pierwszej chwili objęcia rządów przez hr. Khuena brała go opozycya bezustannie za cel swych nienawistnych pocisków i zachowywała się tak, jak gdyby wogóle nie uznawała go węgierskim prezesem ministrów. We wszystkich mowach nazywają go opozycyjni posłowie stale tylko „banem", a jeden z opozycyjnych mówców posunął się nawet tak daleko, że rzekł, iż z rąk tego człowieka stronnictwo niezawisłości wogóle nic nie przyjmie, choćby on nawet ofiarował mu spełnienie wszystkich jego postulatów narodowościowych.

Mówią także o ewentualności rozwiązania sejmu i rozpisania nowych wyborów, — wszelako zdaniem wielu ludzi rozważnych, mogłoby to sprowadzić bardzo fatalne następstwa, gdyby właśnie hr. Khuenowi powierzono przeprowadzenie tak radykalnego zarządzenia, skoro kwestya, czy podczas stanu ex lex można rozwiązywać sejm, jest do pewnego stopnia sporną i daje powód do rozmaitego interpretowania istniejących przepisów ustawowych.

Bądź co bądź byłoby to niedocenianiem znaczenia obecnego przesilenia, gdyby oceniano je tylko ze stanowiska osobistej pozycyi hr. Khuena i stosunku jego do partyi niezawisłości. To jest tylko przesilenie w przesileniu, właściwe zaś przesilenie sięga nierównie głębiej, a zaangażowane są w niem nietylko interesa Węgier, ale całej monarchii. Przy rozwiązaniu jego nie może już rozchodzić się tylko o to, o co rozchodziło się z końcem czerwca, tj. w jaki sposób zadowolnić stronnictwo niezawisłości i skłonić je do zaniechania obstrukcyi, ale o to, w jaki sposób należy wziąć większość parlamentarną i kraj cały w obronę przed burzycielską działalnością zuchwałej mniejszości i jak zabezpieczyć powagę monarchii wobec zagranicy.

Sześciotygodniowy okres rządów hr. Khuena przyniósł właściwie tę nauczkę, że wykazał jak na dłoni, iż z partyą koszutowską paktować nie można, bo brak jej podstawowego warunku wszelkich układów, tj. uczciwości politycznej. Od partyi bowiem, która potrafiła zawarłszy układ, przyjąć świadczenie, do którego zobowiązała się druga strona, tj. cofnięcie nowego przedłożenia wojskowego i potem zaśmiać się bezczelnie i oświadczyć, że sama swych zobowiązań nie myśli dopełnić, od takiej partyi można się spodziewać jeszcze i gorszych rzeczy. Zresztą cała sprawa usiłowanego wrzekomego przekupstwa posła Pappa i obrady parlamentarnej komisyi śledczej odsłaniają nam prawdziwie cuchnące bagno korupcyi, w jakiem pogrążona jest znaczna część tej partyi. Oto np. ów poseł Papp, ów „niesprzedajny", który złożył 10.000 koron na stole prezydyalnym, przedstawia się w świetle faktów jako człowiek, który już dawniej chodził najwstrętniejszemi drogami. Stwierdzono bowiem między innemi, że zabrał na cele własne, tj. na cele pisma przez siebie wydawanego, pieniądze zbierane na cele ogólno-patryotyczne. Brudna ta sprawa przedstawia się jak następuje:

Do stronnictwa rządowego, t. j. liberalnego, należy między innymi także kupiec peszteński Sandor, człowiek bardzo majętny, a przytem dobroczynny, wydający corocznie znaczne sumy na cele humanitarne i patryotyczne. Owóż do tego p. Sandora zwrócił się w roku ubiegłym poseł Barta ze stronnictwa kossuthowskiego z propozycyą, aby zakupił pewną liczbę akcyi dziennika *Fügetlen Magyar Orszag*, wydawanego przez posła Pappa. P. Sandor wyraził zdziwienie, jak można domagać się od niego pieniędzy na popieranie pisma, które tak wrogo występuje przeciw jego stronnictwu i szkaluje je przy lada sposobności. Gdyby to szło — rzekł p. Sandor do p. Barty — o jakąś akcyę naprawdę narodową, wówczas nie ociągałbym się od ofiar, bez względu na to, z czyjej strony wyszła inicyatywa, ale w tej sprawie zrozumiesz pan, że propozycyi pańskiej przyjąć nie mogę.

Wobec tego oświadczenia, Barta nie nalegał już więcej, prosił tylko Sandora, aby o całej tej rozmowie nikomu nic nie mówił. Po kilku tygodniach jednak zgłasza się do niego poseł Papp i powołując się na ową rozmowę między p. Sandorem a Bartą, która miała pozostać w tajemnicy, oświadcza, że stronnictwo niezawisłości zamierza urządzić uroczystość położenia kamienia węgielnego pod mauzoleum Kossutha i liczy w tej sprawie na finansową pomoc Sandora. Na odnośne zapytanie Sandora, jak wysoko „opodatkowało" go stronnictwo niezawisłości na cele tego „przedsiębiorstwa", oświadczył mu Papp, że na 2000 koron. Sandor wytargował połowę i dał 1000 koron i zapisał ten wydatek w swoich księgach handlowych jako pozycyę „na uroczystości Kossuthowskie". Po pewnym czasie jednak wyszło na jaw, że pieniędzy tych nie przelał Papp do kasy mauzoleum pomnika, lecz obrócił je na cele swojego pisma.

Bardzo zajmującemi były także zeznania niejakiego Lewingera, znanego lichwiarza, złożone przed parlamentarną komisyą śledczą, z których okazuje się, że redaktor owego pisma, wydawanego przez Pappa, Dienes, do spółki z posłem Nessim, również koryfeuszem partyi kossuthowskiej i patentowanym patryotą węgierskim, fałszowali weksle.

Tak to wyglądają z bliska „Katonowie" partyi niezawisłości. To też śmiech tylko wzbudzić mogą tyrady koszutowskich dzienników na temat usiłowanego przekupstwa posłów i oburzanie się ich na to, co hr. Władysław Szapary zrobił. Wiedział on, do kogo się zwraca, a cała przeszłość wielu matadorów partyi koszutowskiej uprawniała go do mniemania, że brzęczącym argumentem da się z nimi wszystko zrobić. Zresztą jest to publiczną tajemnicą, że w sprawie regulacyi waluty i ustawy o ślubach cywilnych, pieniądze oddały bardzo ważne usługi i zjednały dla tych spraw niejeden głos opozycyjny.

Jakie będzie rozwiązanie położenia? To pytanie z natury rzeczy najbardziej zajmuje dziś wszystkich. Że hr. Khuen-Hedervary ustąpi, to nie ulega prawie żadnej wątpliwości. Właściwie już w pierwszym tygodniu jego rządów widocznem było, że nie potrafi on zaprowadzić porządku w sejmie, że jednak Cesarz mimo to nie rozstał się z nim prędzej, to przypisać należy temu, iż właściwie nie było innego wyjścia, jak powołanie do steru gabinetu, w którym hr. Apponyi i Wekerle odgrywać będą pierwszą rolę; obaj zaś oni z bardzo słusznych powodów są Monarsze w wysokim stopniu niesympatycznymi. Wekerle, to notoryczny ajent międzynarodowej masoneryi, hr. Albert Apponyi zaś, to typ szlacheckiego warchoła, schlebiającego najniższym instynktom tłumów. Jakim jest program polityczny Apponyiego — to powiedział on przed kilku tygodniami, gdy od stołu marszałkowskiego wypowiedział swą pamiętną mowę, mającą na celu nibyto zażegnanie obstrukcyi. Od programu Kossuthowców dzieli go to tylko, że podczas gdy Kossuthowcy chcą bezzwłocznego rozdziału armii, to hr. Apponyi stopniowego unarodowienia armii węgierskiej, ale aż do tych samych ostatecznych konsekwencyi, do których zmierzają Kossuthowcy, t. j. aż do węgierskiej komendy w pułkach węgierskich. Rozchodzić się zatem może tylko o to, w jakiem tempie ma być przeprowadzone to stopniowe unarodowienie. W ostatecznym rezultacie doprowadzić to jednak musi do tego, iż zamiast jednej armii monarchia będzie miała dwie, które kiedyś mogą i przeciw sobie stanąć. W jakiem położeniu znalazłby się wtedy Monarcha, będący naczelnym wodzem i jednej i drugiej armii i której z nich miałby życzyć powodzenia? Hr. Apponyi nie chce jednak uznać tego, że program unarodowienia armii węgierskiej przy równoczesnem utrzymaniu wspólności monarchii, musi w końcu doprowadzić do absurdu; on dba tylko o popularność. Że i dla dynastyi nie żywi hr. Apponyi uczuć szczerych, tego dowód złożył przed kilkunastu dniami przez wzięcie udziału w uroczystości Rakoczego w Koszycach i wynoszenie pod niebiosy tego rokoszanina, który w przymierzu z Francuzami i Turkami usiłował wyprzeć Habsburgów z Węgier.

A jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że hr. Apponyi będzie prezesem gabinetu na Węgrzech i że za cenę uchwalenia kontyngentu rekrutów na rok najbliższy Korona będzie musiała poczynić mu jakieś zasadnicze przyrzeczenia co do stopniowego unarodowienia armii węgierskiej.

Pytanie jednak, czy Austrya przyjmie ten fakt bez żadnych zastrzeżeń. Dla jedności monarchii ponosiła ona do tej pory ogromne ofiary, skoro jednak ma być zrobiony początek zmiany kształtu monarchii, w takim razie oczywiście i austryacka rada państwa musi zastanowić się dobrze nad tem, czy ludność tej połowy państwa ma dalej płacić niesłuszny haracz na rzecz Węgier. Dla tego też śmiało można powiedzieć, że w najbliższych dniach rozstrzygnie się w Gödöllö nietylko węgierskie ale ogólnopaństwowe przesilenie.

W ostatniej chwili donoszą ze sfer zazwyczaj dobrze poinformowanych, że podobno Korona zdecydowana jest nie czynić w sprawach wojskowych ani na jotę większych koncesyi nad te, do których upoważniła już p. Szella, a następnie hr. Khuen-Hedervary'ego.

---

40)

## DAMA I KOBIETA

**powieść współczesna**

przez

Maryę Milkuszyc.

(Ciąg dalszy).

Długo jeszcze trwała rozmowa, Alina była niezachwianą, Klecki pożegnał ją ucałowaniem jej ręki i rzekł:

— Zrobiłaś mi dziś pani największą przykrość, pozbawiłaś mnie ostatniej pociechy przed śmiercią, a jednak odchodzę ztąd, unosząc przekonanie, że szlachetniejszej istoty nie znałem na tym świecie...

Od tego czasu prawie codziennym gościem Aliny stał się Klecki; zacna kobieta umiała zawsze znaleść stosowną pogadankę lub zajmujące czytanie, rada była uprzyjemniać chwile gasnącego życia przyjaciela. Klecki nie wspominał już nawet o swych odepchniętych zamiarach, nie śmiał też jej obrażać żadnem wynagrodzeniem za zajmowanie jej czasu, tylko przywoził jej kwiaty; bukiet lub wazon z jakąś piękną rośliną, pozostawał zwykle po jego wizycie w mieszkaniu Aliny. Gdy cierpienia chorego nie pozwalały mu wychodzić na powietrze, Alina spieszyła do niego, jakby na najlepiej płatną lekcyę lub wesołe zebranie...

W kilka miesięcy później Klecki nie obudził się ze snu rano lecz zamienił go na spoczynek wieczny. Alina opłakała stratę przyjaciela, ta śmierć znowu pustkę zostawiła w jej duszy, Bronia starała się pocieszać ciotkę i mówiła, że chce być zawsze spadkobierczynią skarbów serca ciotki, czy one zostają po żywych lub umarłych... wesoły uśmiech dziewczęcia, jej szczere, serdeczne przywiązanie rozpędzało najskuteczniej chmury smutku z czoła Aliny...

Parę tygodni minęło od śmierci Kleckiego, gdy Alina na uderzenie dzwonka, otworzywszy drzwi swego mieszkania, zobaczyła na progu Lucyana Sadowskiego. Zmięszała się, pobladła i czekała w milczeniu, gość równie pomięszany, z trudnością wymówił te słowa:

— Przychodzę w interesie, czy pani raczy poświęcić mi chwilkę czasu?

— Proszę — krótko odrzekła Alina.

— Zapewne zdziwiła panią śmiałość moja, ale usprawiedliwi ją pani, gdy powiem, że przychodzę tu z woli nieboszczyka wuja mojego... mam list jego, który polecił mi doręczyć pani osobiście. — Podał zamkniętą kopertę Alinie, która położyła ją przed sobą na biurku.

— Wuj był pani wielkim przyjacielem, kochał i cenił panią bardzo wysoko; w ostatnich czasach mówiliśmy wiele o pani...

— Ja też miałam wiele szacunku i przywiązania dla pana Kleckiego, a śmierć jego zrobiła wielką pustkę w mojem życiu...

— Nie uwierzy pani, jak mi żal, że pani odrzuciła propozycyę wuja... dlaczego pani nie chciała uczynić zadość prośbie jego?

Alina zarumieniła się mocno.

— Wuj pana znał mnie tak dobrze... nie pojmuję nawet, dla czego próbował pytać mnie o to, na co odpowiedź zgadywać musiał.

— O tak; on jeden w całem otoczeniu rozumiał i oceniał panią... inni, a w ich liczbie i siebie niestety postawić muszę, nie umieli poznać się na jej wzniosłym, bez skazy charakterze... panno Alino, proszę mi wierzyć, życiem mojem okupić pragnąłbym chwilę zwątpienia... Czy pani mi kiedy zdoła przebaczyć to, czego ja sobie nigdy nie przebaczę...

Alina blada bardzo powstała z zajmowanego dotąd miejsca, a siląc się na chłód, spokój i swobodę, drżącym mówiła głosem:

— Tyle lat stanowi przedział, jaki nas rozdzielił na zawsze... nie mam prawa ani żalić się na nic, ani też przebaczać... chwila szału u pana minęła... spełniłeś pan swój obowiązek, prowadząc do ołtarza kobietę, nad której głową zawisła błogosławiąca ręka matki... ja także zrobiłam, co do mnie należało, porzuciłam niewłaściwie zajmowane miejsce... i dziś pracy zawdzięczam byt niezależny... czuję się zupełnie zadowoloną z mego losu... a przeszłość uważam za zły, nużący sen, z którego się ocknęłam, i o niej nigdy i z nikim rozmawiać nie chcę.

— Przepraszam panią, widzę, że obecność moja jest jej przykrą... oddalę się niezwłocznie, ukończywszy tu moje posłannictwo... Pani raczy przeczytać list wuja...

Alina usiadła napowrót; drżącą ręką rozdarła kopertę i oczy jej zaczęły zwolna czytać pismo niewyraźne Kleckiego; zamęt, który w tej chwili panował w jej głowie i sercu, nie pomagał też do szybkiego oryentowania się w tem, co miała przed oczyma...

List był następującej treści:

„Odrzuciłaś majątek i rękę przyjaciela, który dziś, już spocząwszy w grobie, prosi cię, byś przyjęła od niego drobną część jego mienia, chciałem mieć prawo przed Bogiem i ludźmi nazwać cię swoją, aby uczynić cię spadkobierczynią wszystkiego co pozostawiam... nie śmiałem testamentem narzucać ci tego, czego posiąść nie chciałaś za życia; obawiałem się, żebyś go się nie zrzekła. Pozwól przynajmniej, niechaj umieram spokojny o przyszłość twoją. Pracą zdobywasz sobie byt niezależny... ależ do pracy potrzebne jest zdrowie i siły, utrata tych mogłaby w jednej chwili pogrążyć cię w niedostatku; tego się lękam i na to pozwolić nie mogę. Dlatego zabezpieczam ci sumę trzydziestu tysięcy rubli na dobrach mego siostrzeńca; procent od tej sumki pobierać będziesz miesięcznie przez całe życie, a po śmierci możesz nią rozporządzać podług woli; zabezpieczam cię tym sposobem przed własnem twem sercem, abyś powierzywszy kapitał w niegodne ręce, sama nie została w potrzebie, na co zgodzić się nie może

twój prawdziwy przyjaciel
Alfred Klecki".

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Nasze stronnictwa skrajne.

IX.

Zwrot, jaki partya wszechpolska wykonała w ostatnich czasach w stosunku do Austryi, jest zrozumiały. Ale cóż powiedzieć na to, że to nieprzejednane stronnictwo, które nigdy nie miało dość słów oburzenia przeciwko tzw. trójlojalizmowi, potępia teraz surowo także robotę rewolucyjną w zaborze pruskim, zaleca legalność i niedrażnienie rządu, zapewnia wreszcie, że o oderwaniu prowincyi polskich od Prus nie myśli? W dzielnicy wielkopolskiej — powiadają wszechpolacy — nie jest bądź co bądź tak źle, jak się nawet samym Poznańczykom wydaje. „Mimo hakatystów rośniemy tam w liczbę, siłę i zamożność." Przekonanie o grożącem nam ze strony Niemiec niebezpieczeństwie jest, zdaniem *Przeglądu wszechpolskiego*, stanowczo przesadzone. Do takich wypadków, jak Września, społeczeństwo nasze przywiązuje zbyt wielką wagę i robi źle, bardzo źle, bo to wprawia je niepotrzebnie w stan rozdrażnienia i odwraca uwagę od ważniejszych rzeczy. Ubolewa dalej organ wszechpolski nad tem, że w Warszawie zapanowała mania polityki antygermańskiej, a pisma codziennie zapchane są anegdotami w celu szykanowania Niemiec. „Głównem zadaniem realnej polityki polskiej w Niemczech — poucza *Przegląd wszechpolski* — nie może być dążenie do zmiany stosunku prawno-państwowego... Liczyć się tam potrzeba z tem, że rząd może zaprowadzić nowe ustawy i środki represyjne... Nie powinniśmy w zaślepieniu wmawiać w społeczeństwo wielkopolskie fałszu, że mu już nic zaszkodzić nie może... Ucisk długotrwały zawsze jest dla narodu szkodliwy i jeżeli go nawet nie osłabia, to zawsze upadla."

Te ostatnie uwagi są całkiem słuszne, tylko dodać trzeba, że przekonania, do których *Przegląd wszechpolski* dopiero teraz dochodzi, dla wszystkich ludzi poważnych rozumiały się same przez się już oddawna. Atoli to samo, co w dzielnicy pruskiej jest białem, staje się dla wszechpolaków czarnem, gdy jest mowa o Królestwie i Litwie. W Prusiech wyższa kultura niemiecka gnębi nas, ale jednocześnie i podnosi, świadomość nasza narodowa wzmaga się tak groźnie, że aż Prusak drżeć zaczyna z obawy przed uciskanymi; w zaborze rosyjskim natomiast długotrwałe prześladowanie osłabiło i zdeprawowało nas doszczętnie, inteligencya poszła na marne, świadomość narodowa ocalała tylko w ludzie prostym, nie pozostaje więc nic innego, jak chwytać się rozpaczliwych środków ratunku. Dlatego też najmniejszy objaw zbliżenia się społeczeństwa polskiego do rosyjskiego, nawet na gruncie niepolitycznym, drażni i wyprowadza z równowagi stronnictwo wszechpolskie. Obchód na cześć Puszkina, urządzony gwoli odwzajemnienia się za uczczenie pamięci Mickiewicza przez Związek pisarzy rosyjskich, został obrzucony błotem przez publicystów wszechpolskich, a senat uniwersytetu lwowskiego za to, iż poważył się na obchód wysłać depeszę z wyrazami sympatyi, nazwany został w *Przeglądzie wszechpolskim* gniazdem „nieuków, karyerowiczów i pospolitych szubrawców". Kiedy cała prawie opinia rosyjska po wyroku wrzesińskim ujęła się gorąco za gnębioną w Poznańskiem polskością, rozumiejąc oczywiście konsekwencye takiego wystąpienia, prasa narodowo-demokratyczna wszelkimi argumentacyami starała się obniżyć znaczenie tego faktu. Co innego, gdy idzie o stosunek do Prus. Rozdmuchując zarzewie buntu wśród gimnazyastów w Siedlcach, równocześnie gasi publicystyka wszechpolska tlejące jeszcze zgliszcza oburzenia przeciw gwałtom wrzesińskim, wobec bojkotu handlowego zaś zwróconego przeciw Prusom, prasa ta zachowała się ku powszechnemu zdumieniu obojętnie.

Jakież są przyczyny tej podwójnej miarki? Scriptor zastanawia się nad tem szeroko i roztrząsa najprzód kwestyę polityki eksterminacyjnej, stosowanej do nas przez Prusy i Rosyę w czasach porozbiorowych. Która eksterminacya była dla nas szkodliwszą, pruska czy rosyjska? Historya odpowiada na to setkami faktów: pruska. Zaraz po trzecim rozbiorze usunięto język polski ze szkół, urzędów, nawet sądów i zastąpiono go niemieckim; zaprowadzono prawo pruskie, kasując od jednego zamachu dawne, do którego ludność od wieków nawykła; wypędzono wszystkich urzędników polskich, których posady zajęli niemieccy przybysze, nawet oficyaliści w starostwach i dobrach duchownych ustąpić musieli przed Niemcami i odtąd zaczęło się systematyczne wynaradawianie i wywłaszczanie, które z krótkiemi przerwami trwa od lat stu do teraz. Tej ciągłości eksterminacyjnej w historyi polsko-rosyjskich stosunków dopatrzeć się trudno. W krajach zabranych przez Rosyę zostawiono po rozbiorach pewien rodzaj samorządu, utrzymano dawny Statut Litewski, sądy obieralne i sejmiki, język polski zachował nadal charakter publiczny. Eksterminacyą chyba nie można nazwać ani polityki Pawła I, który zaczął swe panowanie od kasowania zarządzeń Katarzyny, ani wywalczenia przez Aleksandra I, na kongresie wiedeńskim, wbrew Europie, Królestwa Polskiego, ani nadania temuż Królestwu konstytucyi tak liberalnej, że żadna z ówczesnych nawet angielska w porównanie z nią iść nie mogła. Udowadnia to taki znawca naszej historyi porozbiorowej jak Szymon Askenazy, a inny nasz historyk A. Rembowski na podstawie nowych dokumentów historycznych oświadcza nawet, że właściwym twórcą Księstwa Warszawskiego był nie Napoleon lecz Aleksander I. Nie były wreszcie dowodem ciągłości eksterminacyjnej reformy Wielopolskiego, dające Królestwu samorząd zupełny i szerokie prawa narodowe. *Przegląd wszechpolski* sam przyznaje, że w dzielnicy rosyjskiej posiadamy „duże istotnie zapasy żywotności, nagromadzone przez długie lata", że „na Litwie bodaj najszybciej szło utrwalenie kulturalnego wpływu polskiego i szerzenie się polskiego języka już po rozbiorach, zwłaszcza w okresie uniwersytetu wileńskiego", że wreszcie „Królestwo dopiero od 30-tu lat znajduje się w warunkach wzmocnionego i celowego ucisku".

Tyle co do przeszłości, a teraz co do teraźniejszości. Scriptor nie twierdzi bynajmniej, jakoby w Rosyi nie było teraz represyi politycznej, utrzymuje jednak, że nie jest ona wcale gorszą od hakatyzmu pruskiego. Trzeba też wziąć w rachubę, że oba okresy ucisku po r. 1831 i po r. 1864 nastąpiły po powstaniach, były więc aktami represyi fizycznej przeciwko również fizycznym aktom oporu. Ucisk rosyjski był w formach swoich prawie zawsze mniej kulturalny, bardziej brutalny, niż ucisk pruski. Ale inaczej nam się rzecz przedstawi, gdy się zastanowimy nie nad formą, lecz nad skutecznością ucisku. Równouprawnienie konstytucyjne, istniejące w Prusiech, nie okazało się dostateczną ochroną przeciw doprowadzeniu metody zwalczania nas do wyrafinowanego okrucieństwa, przeciw tępieniu języka polskiego, rozwiązywaniu zgromadzeń polskich, katowaniu dzieci, zamazywaniu adresów polskich na listach, więzieniu latami całemi dziennikarzy polskich za przekroczenia prasowe itd. Z konstytucyą w Prusiech nie jest nam wcale lepiej, niż bez niej w Rosyi — konkluduje Scriptor.

Jeżeli weźmiemy pod rozwagę uspołecznienie niższych warstw narodu, niezaprzeczenie okaże się, iż w Poznańskiem stosunki ułożyły się dla nas korzystniej; przyczem znowu nie należy zapominać, że społeczeństwo tamtejsze nie było, jak w Królestwie, co pewien czas wytrącane z równowagi za pomocą spisków i powstań. Natomiast wszystko co tylko jest umysłową kulturą narodu, jego nauka, jego sztuka, jego literatura, o ile w Warszawie znajdują ognisko, promieniujące na całą Polskę, o tyle na najniższym stopniu rozwoju znajdują się w Poznańskiem, czego znamiennym objawem jest emigracya stamtąd do innych dzielnic całego szeregu ludzi talentu i nauki, nie znajdujących dla siebie odpowiedniego pola działania w domu. Kiedy się zaś czyta o wciąż powtarzających się wypadkach sprzedawania przez Polaków ojcowizny hakatystom, ma się wrażenie jakby ta ziemia coraz bardziej dla nas pustoszała. Sam *Przegląd wszechpolski* nie waha się przyznać, iż przyłączenie polskich prowincyi Prus do Rosyi w obecnych warunkach, a zatem nawet bez konstytucyi, bez samorządu, byłoby dla nas jeszcze rzeczą korzystną. Przy innej znowu sposobności wyraża to pismo przekonanie, że „w pewnych warunkach rząd rosyjski zgodziłby się na przyznanie Królestwu autonomii politycznej", natomiast Prusaków „żelazna konieczność, działająca jak prawo przyrodnicze, zmusza do zasymilowania nas zupełnie". Wywłaszczanie i wynaradawianie słowiańszczyzny —to dla Prusaków kwestya bytu. „Poznańskie— pisze *Przegląd wszechpolski* — wrzyna się głęboko w środek monarchii pruskiej: od najbardziej na Zachód wysuniętej granicy tej prowincyi tylko kilkanaście mil do Berlina". Rosya jak stwierdza to pismo — „może jeszcze pomieścić wiele ludności", ma olbrzymie obszary mało zaludnione i niewyzyskane; Prusy zaś ściśnięte ze wszystkich stron jedyne naturalne parcie znajdują ku polskim kresom.

Otóż na wytłómaczenie różnicy w metodzie postępowania wszechpolaków wobec Prus a Rosyi nie znajdujemy motywów ani w naszej przeszłości historycznej, ani w teraźniejszych stosunkach, ani w widokach na przyszłość. Nie znalazł ich także Jerzy Moszyński, a nie mogąc zrozumieć dziwacznej polityki wszechpolaków, pisarz ten szczery, ale namiętny w swej książce „Po latach czterdziestu" rozciął cały węzeł jednym zamachem, wypowiedział mianowicie przekonanie, że Demokracya wszechpolska znajduje się na żołdzie pruskim. P. Scriptor nie przychyla się do tego twierdzenia, owszem sądzi, że wodzowie wszechpolscy kierują się dobrą wolą i przyczynę ich taktyki upatruje w czem innem. Oto demokraci narodowi wiedzą bardzo dobrze, że w Prusach organizowanie rewolucyi jest niemożliwe, że nie udałoby się tam rozszerzanie pism tajnych w rodzaju *Polaka*, ani rozogniania wyobraźni ludu. Zaporę przeciwko temu tworzy, obok czynników strategicznej natury, kulturalna dojrzałość chłopa polskiego, którego brak zmysłu do konspiracyi główny organ wszechpolski z niezadowoleniem musiał sam stwierdzić. Umiarkowanie wszechpolaków w Poznańskiem jest więc tylko cnotą z konieczności. Na takiem samem stanowisku stał w roku 1862 komitet Centralny, kiedy podnosił sztandar odbudowania Polski w granicach historycznych, a jednocześnie zdrajcą obwoływał każdego, ktoby dążył do powstania w Poznańskiem, i na tem stanowisku wytrwał nawet, gdy okazało się, że Prusy idą ręka w rękę z Rosyą. Przekonanie to podziela i dzisiejszy „rząd narodowy". Nie myśli o powstaniu w Austryi, bo z Galicyi chce zrobić tak, jak w roku 1862, warsztat przygotowawczy dla rewolucyi w Rosyi, nie myśli o powstaniu przeciw Prusom, bo wie, że ono tam jest niemożliwe.

Oto klucz całej zagadki według Scriptora. A stronnictwo wszechpolskie musi przeciwko komuś konspirować, inaczej straciłoby zupełnie racyę bytu i byłoby zupełnie niepotrzebne, rozpadłoby się na ludowców i socyalistów, a część przeszłaby nawet całkiem do obozu zachowawczego.

# Co i o czem piszą.

Zniesienie kontyngentu cukrowego na mocy paragrafu czternastego daje rozmaitym doktrynerom politycznym powód do rozbierania kwestyi, o ile istnienie tego paragrafu da się pogodzić z zasadą parlamentaryzmu. Jedni gorszą się tem, że na podstawie paragrafu czternastego zniesiono ustawę, uchwaloną przez obie Izby parlamentu, i wyrażają obawę, że może to stanowić niebezpieczny precedens, inni zarzucają rządowi, że nadużywa paragrafu czternastego w ten sposób, iż jakby naumyślnie wtedy wyszukuje rozmaite „naglące konieczności", kiedy Rada państwa nie jest zebrana i stosuje do nich paragraf czternasty.

Oczywiście tylko ze stanowiska doktryny można zwalczać paragraf czternasty, każdy jednak czuje to dobrze, że gdyby go nie było, wtedy dopiero sytuacya byłaby nierównie gorsza i wtedy dopiero znalazłoby się państwo nad brzegiem przepaści. Bardzo trafnie pisze w tej mierze *Czas* co następuje:

Patrząc na całość stosunków, rozwijających się w Austryi od kilku lat, zadajemy sobie pytanie: do czegobyśmy doszli, gdyby konstytucya austryacka nie zawierała podobnego postanowienia, jak §. 14? Wobec anarchii i rozstroju w parlamencie, wobec jego subjektywnej niezdolności do pracy, wobec wreszcie objektywnych danych, umożliwiających każdej grupie warchołów wstrzymanie wszelkiej twórczości i postępu — do czego już doszłoby to państwo, podminowane z tylu naraz stron?

Fałszywe to więc żale i fałszywe łzy, gdy skarży się na upadek konstytucyonalizmu w Austryi, a równocześnie nie czyni się nic, aby go uczynić naprawdę żywotnym. O zniesieniu paragrafu 14-go można mówić i poważnie myśleć tylko wówczas, gdy się ma zdrowy i prawidłowo funkcyonujący parlament, gdy jego obrady zagwarantowane są rozumnym regulaminem, gdy wykluczoną jest możliwość wstrzymania całej maszyny państwowej przez lada garstkę krzykaczy.

Dopóki parlament niema tych gwarancyj, dopóki nie będzie prawdziwym i rzeczywistym parlamentem, dopóty podobne żale nad upadkiem konstytucyonalizmu będą perfidyą lub śmiesznością. Poważnie myśli o ratowaniu konstytucyi, o sanacyi parlamentaryzmu, kto dąży do sparaliżowania raz na zawsze wszelkich anarchij w nim, kto pragnie zabezpieczyć zwycięstwo zasadzie większości. Kto gdzieindziej widzi przyczynę upadku konstytucyonalizmu, ten łudzi siebie i innych — lub tylko innych.

# Zamordowanie konsula rosyjskiego w Monastyrze.

*(Telegramy Przeglądu).*

**Petersburg** 11 sierpnia. *Goniec rządowy* ogłasza następujący telegram z dnia 8 b. m., wysłany przez rosyjskiego ambasadora w Konstantynopolu: „Rosyjski konsul w Bitoli padł ofiarą oburzającego morderstwa. Wielki wezyr Ferid basza i minister spraw zagranicznych Tewfik basza przybyli do mnie, by w imieniu sułtana wyrazić ubolewanie. Ferid oświadczył, że mordercą jest żandarm Halin, który będzie w ostry sposób ukarany; wali zaś Monastyru będzie usunięty ze swego stanowiska".

Minister spraw zagranicznych hr. Lambsdorf odtelegrafował rosyjskiemu ambasadorowi w Konstantynopolu: „Car przyjął od sułtana telegram wyrażający ubolewanie z powodu śmierci konsula w Bitoli. Gdym przedłożył pański telegram, kazał mi car polecić panu, byś się pan nie ograniczał tylko do przyjęcia oświadczenia wielkiego wezyra, ale u tureckiego rządu energicznie żądał zupełnego zadośćuczynienia, natychmiastowego przykładnego ukarania mordercy, jakoteż wszystkich wojskowych i cywilnych osób, na które spada odpowiedzialność za tę bezczelną zbrodnię".

**Konstantynopol** 11 sierpnia. Wali Monastyru Al Rizan basza został złożony z urzędu. Tymczasowym walim mianowano jeneralnego inspektora, Himlego baszę,

O zamordowaniu konsula rosyjskiego Rostkowskiego nadeszły tu następujące szczegóły. W sobotę, gdy konsul w towarzystwie bułgarskiego nauczyciela swoich dzieci wracał z odległego o 3 kilometry Monastyru, gdzie się znajduje jego rodzina, żandarm stojący na posterunku, nazwiskiem Halim, nie oddał mu przepisanego ukłonu. Konsul wysiadł z powozu i kazał żandarmowi stanąć. Po krótkiej wymianie słów, żandarm strzelił z bliska w piersi konsula, a kiedy ten upadł na ziemię, drugim strzałem roztrzaskał mu głowę. Inni żandarmi nadbiegli i strzelali do nauczyciela i woźnicy, którzy poczęli uciekać. Władze lokalne tureckie twierdzą, że konsul pierwszy strzelił z rewolweru, ciało konsularne z całą stanowczością odpiera tę chęć usprawiedliwienia morderstwa, gdyż stwierdzono, że ani konsul, ani nauczyciel, ani woźnica wcale nie mieli przy sobie rewolwerów. Morderstwo wywołało w Monastyrze panikę. Sklepy pozamykano.

W Ildiz-kiosku wywołało ono również wielkie wrażenie. Sułtan polecił wielkiemu wezyrowi, aby udał się do rosyjskiego ambasadora Zinowiewa, prosił go o przebaczenie i zapewnił, że da pełne zadośćuczynienie. To samo polecono uczynić wobec rządu rosyjskiego tureckiemu ambasadorowi w Petersburgu. W rosyjskiej letniej ambasadzie Bujukdere miał się onegdaj odbyć bal. Nie zdołano go wprawdzie odwołać, jednak na znak żałoby zamieniono go na towarzyskie zebranie bez muzyki i bez tańców. Sądzą tu, że morderstwo będzie miało poważne następstwa, zwłaszcza obawiają się tego, jak oddziała fakt ten na opinię publiczną w Rosyi. Koła dyplomatyczne sądzą, że Rosya w tej sprawie, podobnie jak w sprawie zamordowania konsula Szczerbiny postąpi z całem umiarkowaniem, w przeciwnym bowiem razie wszelkie korzyści wyciągnęłyby komitety macedońskie, a położenie Turcyi tylkoby się pogorszyło.

**Petersburg** 11 sierpnia. Dzienniki, omawiając fakt morderstwa, domagają się surowego ukarania mordercy i położenia już raz końca podobnym zdarzeniom. *Nowoje Wremia* piszą, że oprócz ogólnych zarządzeń konieczne są jeszcze specyalne zarządzenia celem ochrony konsulów rosyjskich. Oba wypadki, zamordowania Szczerbiny i Rostkowskiego, dowodzą konieczności oddania komendy nad turecką policyą i żandarmeryą oficerom zagranicznym. A jeżeli nieodpowiedniem jest powoływać ku temu oficerów szwedzkich, holenderskich lub belgijskich, to należałoby komendę powierzyć oficerom rosyjskim i austryackim. Nieodzowną jest reforma żandarmeryi i policyi tureckiej i administracyi w Macedonii.

**Konstantynopol** 11 sierpnia. Koło Kruszewa przyszło do starcia pomiędzy silnym oddziałem powstańczym, liczącym podobno 1000 ludzi a wojskiem tureckiem. Powstańców odparto. Na miejsce wysłano posiłki. W innych także miejscowościach przyszło do starć. Na ostatniej naradzie wojskowej postanowiono: 1) wydać obszerne zarządzenia wojskowe, 2) zaprowadzić sądy doraźne dla natychmiastowego karania Bułgarów, schwytanych z bronią w ręku, 3) działać uspokajająco na ludność okręgów dotkniętych ruchawką, 4) wydać polecenie, aby wojsko wystrzegało się niepotrzebnej srogości, drażniącej ludność. Projekt zaprowadzenia stanu oblężenia dla okolic objętych powstaniem, nie utrzymał się. Między innemi postanowiono zmobilizować 16-cie batalionów redyfów.

Z okolicy Skoplja donoszą o licznych przerwach linii telegraficznych.

**Saloniki** 11 sierpnia. Osmar Ruszci basza udał się z dwoma batalionami do Monastyru. W południe przybył tu Hilmi basza i również udaje się do Monastyru. Donoszą, że wojska tureckie stoczyły wczoraj koło Kailaru walkę z wielką bandą powstańców.

**Konstantynopol** 11 sierpnia. Koło Sirola stoczyło wojsko tureckie przed kilku dniami walkę z bandą bułgarską. Powstańcy ponieśli klęskę. Wieś spłonęła. W miejscowości Dirdje jest 200 żołnierzy otoczonych przez bandę. Posłano tam posiłki.

# Z izby sądowej.

**Paryż** 10 sierpnia.

*(Proces pani Humbert).*

W sobotę w południe rozpoczął się przed tutejszym sądem przysięgłych długo oczekiwany proces przeciw pani Teresie Humbert, mężowi jej Fryderykowi Humbert i obu jej braciom Emilowi i Romanowi Daurignac. Bronią oskarżonych Labori i Clunet. Przewodniczy radca sądowy Bonnet. Sala przepełniona, a rozprawa niewątpliwie dostarczy mnóstwa jeszcze sensacyi, oprócz tych, na które dzienniki już publiczność przygotowały.

Akt oskarżenia tak przedstawia życiorys głównej oskarżonej, pani Teresy Humbert. Ojciec jej, pan Daurignac, był właścicielem biura małżeńskiego w Tuluzie. Po nim Teresa odziedziczyła pomysłowość i żyłkę szachrajską. Stary Daurignac posiadał w pobliżu Tuluzy we wsi Beauzelles jakiś stary zdezolowany domek, nazwał on go swym „kastelem", a nazwisko swe zmienił na szlacheckie pisząc je d'Aurignac. Walczył on wiecznie z długami, a wierzycieli uspokajał opowiadaniem o jakimś bogatym wuju w Ameryce.

To jednak, co ojciec robił w małym zakresie, córka rozwinęła do niesłychanych rozmiarów. Już jako młoda panienka, chcąc mieć kredyt w sklepach, opowiadała również o spadku amerykańskim, który dostanie się jej po dojściu do pełnoletności, ale dodawała z westchnieniem: „Nie obejdzie się przytem bez procesu". Wójtem wioski Beauzelles był szanowany powszechnie Gustaw Humbert, profesor uniwersytetu w Tuluzie na wydziale prawa i dożywotni senator. Kupował on czasami wino u Daurignaców. Z synem jego Fryderykiem, słuchaczem prawa, nawiązała Teresa stosunek. W r. 1878 stary Humbert został powołany do trybunału rachunkowego w Paryżu. Fryderykowi, który w Tuluzie sam pozostał, opowiadała Teresa ciągle o swoim spadku po właścicielce zamku Marcotte i żądała jego rady co do ewentualnego procesu. Właścicielka zamku i sam zamek istniały tylko w wyobraźni Teresy Daurignac, ale umiała tak sprytnie kłamać, że obu Humbertów zainteresowała tą sprawą. Po pewnym czasie Fryderyk Humbert poślubił Teresę Daurignac.

Młoda para przeniosła się do Paryża i tam zaczęła wszystkim rozpowiadać, że w Lizbonie umarła jakaś bogata jejmość, która zapisała cały swój majątek Teresie. Krewni owej lizbońskiej spadkodawczyni wystąpić mieli z procesem; dlatego sam Gustaw Humbert z kolegami swoimi naradzał się nad środkami prawnemi w tej sprawie. Wówczas to stary Humbert, późniejszy minister sprawiedliwości, zaciągnął pożyczkę w kwocie 600.000 franków, syn jego a mąż Teresy nibyto miał rządowi tytułem podatku spadkowego zapłacić przeszło 1 milion franków. Czy stary Humbert działał w dobrej wierze, trudno dzisiaj osądzić, ale to jest pewnem, że Fryderyk, mąż Teresy, wierzył jej bajkom i zupełnie ulegał wpływom żony.

W następnych dwóch latach portugalski spadek przemienił się w amerykański, a spadkodawcą został niejaki Crawford, zmarły w Nizzy. Henryk Robert Crawford, wedle bajki, stworzonej przez Teresę, nawiązał był stosunek z jej matką w r. 1853. Umarł on w r. 1877 i pozostawił dwa sprzeczne testamenty z tą samą datą. Jeden testament mianował Teresę uniwersalną spadkobierczynią, drugi zaś cały majątek w równych częściach przeznaczył dla Maryi Daurignac, siostry Teresy, dla Henryka Crawforda i dla Roberta Crawforda, kuzynów zmarłego spadkodawcy. Ze swoich działów mieli Crawfordowie wypłacać Teresie rentę w kwocie 30.000 franków miesięcznie. Obydwa testamenty nosiły datę dnia 6 września 1877 r. Oczywiście sprzeczność testamentów musiała doprowadzić do procesu. Ale Crawfordowie i Daurignacowie zawarli dnia 14 marca 1883 r. ugodę, mocą której wszystkie obligacye i całą gotówkę wzięła w przechowanie Teresa Humbert, i zobowiązała się nie naruszyć depozytu aż do chwili, gdy siostra jej, Marya, dojdzie do pełnoletności. Wtedy miano zawrzeć ostateczną ugodę. W grudniu 1884 r. zawarto nową ugodę, mocą której obaj Crawfordowie uznali testament korzystny dla nich za nieważny, a w zamian za to mieli od Teresy otrzymać po 3 miliony franków.

Oto komedya, którą wymyśliła Teresa Humbert. Przez 20 lat sądy zajmowały się spadkiem po Crawfordzie, adwokaci pisali skargi, notaryusze redagowali kontrakty, wierząc święcie, że spadek rzeczywiście istnieje. Teresa kierowała całą akcyą, mąż jej, Fryderyk, był narzędziem w jej rękach, a bracia Roman i Emil pomagali siostrze. Chodziło o to, ażeby sprawa toczyła się bez końca, ażeby więc Teresa nie była zmuszoną do okazania fikcyjnego depozytu. Fryderyk Humbert, jako prawnik, wymyślał często genialne kawały. Procesy ciągle się toczyły, a tymczasem Teresa Humbert, posiadała nieograniczony kredyt Podobno zaciągnęła długów na kwotę przeszło 100 milionów fr.

Drogi, które obierała pani Humbert, by stwierdzić istnienie Crawfordów, były rozmaite. Tak np. prezydent sądu w Paryżu, Baudouin, otrzymał był w ciągu jednego z wymienionych procesów list od Henryka Crawforda z prośbą o prywatną audyencyę. Oczywiście był pewny odtąd, że Crawford nie jest mitem. Sztuczkę tę urządził był, jak następnie wykryto, Roman Daurignac. Innym razem zjawili się przed notaryuszem Dupuy w Paryżu obaj Crawfordowie, istne uosobienie amerykańskich oryginałów, — aby wezwać jego pomocy prawnej przeciwko Teresie Humbert. Mógłże notaryusz przypuszczać, że z kim innym, a nie Crawfordami miał do czynienia? Podobną komedyę odegrano w obec egzekutora sądowego, który chciał doręczyć pewien akt braciom Crawfordom, nibyto chwilowo mieszkającym w hotelu Louvre.

Rzeczą jest jasną, iż takie wodzenie za nos sądów i trybunałów francuskich przez lat 20 możliwe było pani Teresie Humbert tylko przy gorliwem poparciu najwyższych figur rządowych trzeciej rzeczypospolitej. To też zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jeżeli nie wszyscy ministrowie francuscy w ciągu ostatniego 20-lecia czerpali z kasy pani Humbert, to z pewnością ich większość. Potwierdzają to także ogłoszone przez dziennik *Matin* listy byłego ministra spraw zagranicznych Emila Flourensa i jego żony, pisane do Teresy Humbert. W listach tych kilkakrotnie Flourens prosi panią Humbert o pieniądze, raz dla swoich wyborców, dotkniętych klęską powodzi, innym razem na założenie jakiegoś pisma, to znowu na podróż do Petersburga. Zaznaczyć przytem wypada, że to Flourens wdrożył rokowania o zawarcie przymierza francusko-rosyjskiego. W innym liście Flourens przyrzekł pani Humbert pomoc swoją przeciwko „atakowi sądowemu", który jej grozi.

W roku 1893 musieli Humbertowie uznać, że niepodobna już dalej ciągnąć procesów z Crawfordami, należało więc obejrzeć się za sposobem zdobywania nowych milionów bez zaciągania niewygodnych już długów. W tym celu więc założyli Towarzystwo asekuracyjne *La rente viagère*. Jako kapitał zakładowy stowarzyszenia podano sumę 10 milionów, ulokowaną w 2.000 akcyj po 5.000 fr. Nadto czwarta część miała być złożona w gotówce. Kapitału tego dostarczyła fikcyjna subskrypcya braci pani Humbert, uzupełniona dla okrasy podpisami kilku naiwnych, którzy poszli na lep. Na poczekaniu utworzono radę zawiadowczą, dyrektorów, aparat administracyjny. Ustawą przepisany fundusz rezerwowy umieszczono w głośnej już wówczas żelaznej kasie pani Humbert. Hałaśliwa reklama napędziła Towarzystwu sporo nieoględnych klientów. Zaprowadzono też interes wkładkowy, bardzo atrakcyjny, gdyż przyrzekający 10 do 12 procent. Towarzystwo to byłoby się może Bóg wie jak długo rozwijało pomyślnie, gdyby w r. 1902 nagle nie gruchnęła wiadomość, że Crawfordowie są to osoby fikcyjne, nieistniejące wcale. W sprawę wdały się sądy; zażądano natarczywie adresów Crawfordów, a gdy ich nie podano, prezydent Ditte nakazał 6 maja zr. przeprowadzić rewizyę tajemniczej skrzyni Humbertowej. Rewizya miała się odbyć 9 maja. Tymczasem 7-go ujrzano nad kominem pałacu (dawniej Branickich) przy av. de la Grande Armée kłęby dymu: to Romain Daurignac spalił kompromitujące papiery, a nazajutrz Humbertowa ze wspólnikami uciekła do Madrytu.

Ponieważ oszustwa Humbertów i Daurignac'ów datują się od lat 20, przeważna część ich zbrodni jest przedawniona. Sądzeni oni będą tylko za oszustwa popełnione w ciągu ostatnich lat 3. Humbertowa nie będzie sądzoną za sfałszowanie testamentu rzekomych Crawfordów. Mimo tego jednak oskarżenie jest bardzo ciężkie, odnosi się nietylko do oszustw, ale i do fałszowania dokumentów.

Do rozprawy powołano 106 świadków.

Po odczytaniu aktu oskarżenia rozpoczęło się przesłuchanie Teresy. Twierdzi ona z całą stanowczością, że Crawford rzeczywiście istnieje i że jest człowiekiem uczciwym. Zapewnia, że wszystkie swe długi spłaci, ale przytem oświadcza, że sprawę wyjaśni dopiero po przesłuchaniu wszystkich świadków. Potem poczęła atakować ministra sprawiedliwości, a przewodniczący z trudem tylko mógł przerwać tok jej zeznań, aby wypytać ją o szczegóły jej biografii. Ostatecznie przewodniczący sam opowiedział życiorys jej od chwili zamążpójścia, i przedstawił jej marnotrawstwo i zaciąganie długów. Teresa Humbert często przerywała przewodniczącemu i rzekła, że ją lichwiarze zrujnowali, oraz oświadczyła, że udowodni swoją niewinność.

W ciągu przesłuchania swego podsądna raz po raz urządzała patetyczne sceny, już to zwracając się do przysięgłych przemawiała namiętnie, już to popadała w ton sentymentalny i miękki. Między innemi mówiła n. p.: „Trzeba już raz położyć koniec tym paszkwilom. Ludzie powinni wiedzieć, że gdy ktoś nazywa się Humbert, to należy do ludzi uczciwych we Francyi". „Jestem biedną kobietą, nieszczęśliwą, ale uczciwą." Mówiąc o ministrze sprawiedliwości rzekła głosem pełnym nienawiści: „Ludzie dowiedzą się, że minister Vallé jest powodem całego nieszczęścia."

A w kilka chwil potem zawołała podsądna: Nie dosypiam, nie jadam. Patrzcie na mnie, panowie przysięgli! Czyż wyglądam jak kobieta, która popełniła kradzieże, jak to pisały dzienniki. Ale nie gniewam się na dziennikarzy, jestem za wolnością prasy! (Wielka wesołość).

Mówiąc o marnotrawstwie p. Humbert, wspomniał przewodniczący, że wydawała ona rocznie 400.000 franków, z tego przypadało 30.000 na suknie, 17.000 na futra, 5.000 na buciki i kapelusze. Pani Humbert przerwała mu i rzekła: „Panie prezydencie, mam teraz kapelusz, kupiony jeszcze dnia 7-go maja".

Gdy była mowa o wyjeździe Humbertów z Francyi, rzekł przewodniczący, że sądzono, iż chcą oni podać się o poddaństwo zagraniczne. Na to zawołała pani Humbert z emfazą: „Nie, nigdy! Zanadto kocham Francyę. Nie, panowie, nie popełniłam żadnych szalbierstw. Panie prokuratorze, będzie pan musiał zupełnie zmienić akt oskarżenia" Do takich nic nie mówiących odpowiedzi ograniczyła się pani Humbert podczas swego przesłuchania, robiąc tylko obietnice, że później, po przesłuchaniu wszystkich świadków, poczyni rozmaite rewelacye, wyjawi gdzie są miliony, pokaże, że jest uczciwą kobietą i t. d. Między innymi obiecała też wyświetlić, jaką rolę grał w tej sprawie Waldeck-Rousseau, były szef gabinetu francuskiego.

Przystąpiono do przesłuchania jej męża; z całą stanowczością oświadczył on, że nic o niczem nie wie i że nigdy nie zajmował się sprawami, o które go posądzają.

Natomiast przewodniczący zarzucał Fryderykowi Humbertowi, że on to wymyślał rozmaite kombinacye finansowe, a żona jego miała zadanie oczarowywać wierzycieli.

T e r e s a: Nigdym nikogo nie oczarowała, prócz mego męża.

Na tem rozprawę odroczono do dzisiaj.

* * *

Wczorajsza rozprawa w procesie Humbertów rozpoczęła się w południe przy takim samym natłoku publiczności, jak pierwsza. Po otwarciu przewodniczący przystąpił odrazu do przesłuchania Fryderyka Humberta. Obstawał on przy twierdzeniu, że nigdy się nie zajmował sprawami pieniężnemi. Teresa Humbert zeznania jego przerywała kilkakrotnie. Oskarżony dał w sprawie Towarzystwa „renty dożywotniej" odpowiedź wymijającą, i rzekł, że o niczem nie wie. Przesłuchano z kolei Romana Daurignac, który między innemi oświadczył, że widział braci Crawfordów w jednym z paryskich hoteli, zaprzeczył natomiast, jakoby odbierał listy wysyłane pod adresem Crawfordów i miał wystawione na ich nazwiska pełnomocnictwo.

Teresa Humbert zapewniła ponownie, że bracia Crawford istnieją, nazywają się jednak w rzeczywistości inaczej. Gdyby się nie zjawili przed sądem opowie ona o nich, lecz dopiero przy końcu procesu.

Przesłuchani następnie świadkowie zeznawali o długach, jakie zaciągnęli Humbertowie w Tuluzie.

Adwokat C o m p z Narbonny opowiadał rozmaite szachrajstwa, jakie Humbertowie robili z owym bankiem, który założyli w roku 1893, a który nazywał się *La rente viagère*. Bank ten miał za zadanie wypłacać rentę dożywotnią tym, którzy przez pewien szereg lat wpłacali do banku wkładki. Rzecz była oparta mniej więcej na tych samych podstawach, na jakich prowadzona jest w Towarzystwie krakowskiem Wzajemnych Ubezpieczeń asekuracya na przeżycie. Ktoś przez lat kilkadziesiąt wpłaca co roku pewną wkładkę, a potem doszedłszy do lat 60 lub 70 poczyna otrzymywać aż do śmierci rentę dożywotnią.

Owóż adwokat Comp wykazywał, że cały rachunek prawdopodobieństwa ułożony przez Bank Humbertów oparty był na oszustwie, że oni przyrzekali takie wypłacać renty, jakich nigdy w świecie nie mogliby wypłacać i jakichby się nie podjęło żadne towarzystwo asekuracyjne sumienne, i oparte na rachunku prawdopodobieństwa. Im zaś szło wyłącznie o to, aby przez przyrzekanie nadzwyczaj wysokich rent dożywotnich ściągnąć jak najwięcej wkładek i temi wkładkami w danej chwili operować, a coby się potem stało z tymi ludźmi, którzy się zaasekurowali, a którzy oczywiście nie ujrzeliby ani zwrotu kapitału ani żadnej renty dożywotniej, o to ich głowa nie bolała.

# KRONIKA.

Lwów 11 sierpnia.

**Jedyny tegoroczny strejk rolny** wybuchł we wsi Żyznomierzu pod Buczaczem. Wieś ta należy do izraelity p. Mechela Kornblüh. Obchodził się on podobno zupełnie nieodpowiednio ze swą służbą folwarczną i z włościanami. Z powodu jednak, że służba folwarczna miała roczne kontrakty, zawezwał parobków starosta do Buczacza i przedstawiał im, że to nie jest rzeczą dozwoloną zrywać

kontrakt w ciągu roku. Parobcy oświadczyli jednak, że dalej na tych samych warunkach pozostać nie mogą i że przedewszystkiem domagają się, aby odtąd wydawano im ordynaryę nie na miarę, lecz na wagę. Nadto żądają podwyższenia pensyi o 20 K. rocznie. Ponieważ p. Mechel Kornblüh na te warunki nie zgodził się, a parobcy do służby na dawnych warunkach wrócić nie chcieli, przeto skazano ich na zapłacenie kosztów w kwocie 834 K., które p. Kornblüh ponosił wskutek samowolnego porzucenia przez nich służby, a nadto siedmiu z nich skazano na 14 dni aresztu. Przeciw temu wyrokowi starostwa wnieśli strejkujący rekurs.

**Ślub** pani Ireny z hr. Wolańskich hrabiny Aleksandrowej Pinińskiej z hr. Robertem Lamezan-Salins, kapitanem sztabu jeneralnego, odbył się dziś w południe w kościele św. Maryi Magdaleny. Ślub dawał x. Wróblewski T. J., a ponieważ pan młody nie posiada języka polskiego, przeto ślub odbył się w języku francuskim. W orszaku ślubnym znajdowała się tylko najbliższa rodzina państwa młodych, jakoteż Mieczysław i Stanisław Pinińscy.

**Konkurs.** W urzędowej *Gazecie lwowskiej* rozpisano konkurs na posadę lekarza kolejowego w Stryju z terminem wnoszenia podań do 26 sierpnia br.

**Ruskie marki narodowe.** Rusini wpadli na bardzo dobry sposób zbierania funduszów na rozmaite cele publiczne. Oto wytłoczyli własne marki narodowe i postanowili przylepiać je na listach obok rządowych marek pocztowych. Marki te, wybite zielonym drukiem na żółtym papierze pojawiają się już na listach ruskich. Podrażają one wprawdzie porto tych listów, ale przyczyniają się do stworzenia funduszów potrzebnych na zbudowanie takich instytucyj narodowych ruskich, jak teatr, konserwatoryum etc. we Lwowie. Ta ofiarność Rusinów na cele publiczne jest naprawdę podziwu godna.

**Nowe wozy tramwaju elektrycznego** zamówiono w fabryce sanockiej wkrótce będą już dostarczone do Lwowa. Jeden z tych wozów już nawet przybył i prezentuje się bardzo przyzwoicie. Podobny on jest do typu wozów tramwajowych używanych w Szwajcaryi, we Włoszech, we Francyi i w Niemczech, jest zabudowany z przodu i z tyłu, a różni się tylko tem od wozów tramwajowych używanych w wymienionych krajach, że ma dwie klasy. Ten podział wozów na dwie klasy jest bardzo niewygodny. Wobec zaś tego, że pewna część naszej publiczności jest niesłychanie brudna i śmierdząca, niepodobna zaniechać u nas budowania wozów dwuklasowych.

**„Skarb narodowy".** W artykułach omawiających książkę Scriptora pt. „Nasze stronnictwa skrajne", wspominaliśmy o instytucyi noszącej ten tytuł, a mającej według planu p. Miłkowskiego służyć do odbudowania Polski. P. Miłkowski mniemał, że kasa Skarbu narodowego będzie miała rychło miliony, tymczasem zdołała ona zaledwie dotąd zebrać skromną sumkę 200.000 franków, a nadto w łonie tego komitetu, który owym Skarbem zawiaduje, powstały jakieś niesnaski i spory, a w rezultacie komitet nie chciał dopuścić delegatów młodzieży polskiej do przejrzenia rachunków Skarbu narodowego. Słowem, co się tam dzieje z tym Skarbem narodowym, tego nie wiemy, dość, że teraz pisma demokratyczne ogłaszają, że postanowiono oddzielić instytucyę Muzeum narodowego w Rapperswylu od instytucyi Skarbu narodowego, a do komisyi dozorującej Skarb narodowy powołać jeszcze dra Leonarda Tarnawskiego, posła sejmowego z miasta Przemyśla, prof. Wacława Gasztowtta z Paryża i p. Władysława Turskiego, radnego miasta Krakowa.

**Nieszczęśliwy marsz do Bilek.** Pisma wiedeńskie donoszą, że śledztwo prowadzone w sprawie owego nieszczęśliwego marszu, podczas którego zginęło 15-tu żołnierzy, wykazało już dotąd mnóstwo nieprawidłowości popełnionych przez komendanta pułku i oficerów. Wprawdzie upał w tym dniu był rzeczywiście wyjątkowy, ale śmiertelność nie byłaby przybrała tak wielkich rozmiarów, gdyby władze wojskowe nie lekceważyły przepisów obowiązujących. To też podobno surowa kara spadnie na tego, który owym pułkiem dowodził.

**Teatr ludowy** wystawia dziś po raz pierwszy nieznaną we Lwowie operetkę p. t. „Żony Jafeta" Marsa i Desvallières z p. Zimajer w głównej roli. — We środę daje teatr ludowy jedno przedstawienie w Stanisławowie z panią Zimajer. Odegraną będzie „Nitouche," operetka w 4 a. Milhaca i Millauda. — W sobotę 15 sierpnia nieodwołalnie ostatni występ Adolfiny Zimajer, gdyż w przyszłym tygodniu przybywa do Lwowa na występy Zofia Czaplińska.

**Wystawa artystycznych prac amatorskich.** Staraniem Towarzystwa miłośników sztuki „Ziarno" urządzoną będzie z końcem września r. b. wystawa prac amatorów z zakresu malarstwa, rzeźby i wszystkich gałęzi sztuki stosowanej, a więc rysunków, akwarel, malowideł olejnych, rzeźby i snycerstwa, malowania na porcelanie i majolice, haftów, koronek, robót introligatorskich itp., wreszcie rysunkowych projektów urządzeń mieszkalnych i przedmiotów artystycznego przemysłu.

Ponieważ celem pierwszej tej wystawy jest okazać, na jakim poziomie znajduje się obecnie i w jakich kierunkach rozwija się dotąd produkcya artystyczna amatorów naszych, przeto przyjmowane będą na nią bez szczególnych ograniczeń wszystkie prace posiadające pewną wartość artystyczną, o ile są własną robotą amatorów. Publiczność zwiedzająca wystawę będzie miała sposobność sama wydać sąd o przedmiotach wystawionych przez głosowanie kartkami. Wynik tego plebiscytu będzie następnie w dziennikach ogłoszony.

Zgłoszenia prac na wystawę najpóźniej do 10 września b. r. przyjmuje sekretarz „Ziarna" p. W. Stroner (Muzeum przemysłowe w ratuszu), który udziela również wszelkich bliższych wyjaśnień do wystawy się odnoszących.

**Wszechświatowy kongres rabinów** rozpoczął się w niedzielę w Krakowie. W obradach biorą udział rabini z Austro-Węgier, Francyi, Rosyi, Niemiec, Rumunii i Egiptu. Otwarcie kongresu odbyło się w gmachu starej bóżnicy, postawionej jeszcze za Kazimierza Wielkiego. Bóżnicę tę podczas otwarcia kongresu oblegały tysiączne tłumy żydów. Kongres zagaił krakowski rabin Horowitz i w imieniu zebranych wygłosił najpierw hołd dla Cesarza Franciszka Józefa, a później z torą w ręku przed otwartą arką przymierza zaprzysiągł uroczyście, że pogłoski o mordzie rytualnym są kłamstwem. Przysięga jaką złożył była następująca:

„Wiemy to wszyscy z całą dokładnością, że niewinni jesteśmy zbrodni, którą nam przypisują. Wobec tego, że w niektórych krajach godność ludzka przez rozszerzenie tej pogłoski haniebnie zdeptaną została, ogłaszamy obecnie w imieniu zebranych rabinów i nauczycieli żydostwa głośny protest przeciw tej strasznej potwarzy. Przysięgamy w imię Wszechmocnego Boga, który spogląda w serca nasze i ciemności życia ziemskiego przyświeca, przysięgamy w imię Ojca niebios i Najwyższego Prawodawcy, że kultu takiego nigdy w żydowstwie nie było, że nie ma o nim wzmianki ani w piśmie św. ani w dziełach uczonych ani w tradycyi, że nie wykonywały go nigdy ani stronnictwa ani poszczególne jednostki w żydostwie, słowem, że kult taki religii żydowskiej zupełnie jest obcy i nieznany. Oby ta przysięga, ten żywy protest całego Izraela przeciw zhańbionym prawom ludzkim, wrogów żydostwa w przyjaciół zamieniła".

Przysięgę tę powtórzyli równocześnie wszyscy zebrani rabini. Później przemawiał rabin z Aleksandryi Hazan w języku hebrajskim, rabin z Aleskubin Horowicz, w języku niemieckim i wiceprezydent gminy żydowskiej, Landau.

Obrady kongresowe, które trwać będą przez cały tydzień — odbywają się teraz w języku hebrajskim, w ścisłem gronie rabinów w synagodze na placu Nowym. Budynek otaczają tysiące izraelitów, między któremi straż policyjna utrzymuje porządek.

**Wypadek poparzenia trzech osób** zdarzył się dzisiaj około godz. 6 rano w pasażu Mikolaschów, w laboratoryum, należącem do znajdującej się tam drogueryi, skutkiem wybuchu kotła, przeznaczonego do preparowania rozmaitych fabrykatów aptecznych. Wybuch nastąpił z niewiadomego powodu, w chwili, gdy zajęty przy kotle robotnik, Hilary Kohut, wlewał do niego terpentynę. Tak robotnik ten, jak i znajdujący się właśnie wówczas w laboratoryum: buchalter, Kucharz i pomocnik drogueryjny Ehrenfeld, odnieśli niebezpieczne poparzenia na głowie, twarzy i rękach.

Gdyby nie energiczna pomoc natychmiastowa, wybuch mógł był pociągnąć za sobą straszne następstwa, laboratoryum bowiem znajduje się tuż pod samym magazynem materyałów wybuchowych. Na szczęście straż ogniowa ugasiła rychło powstały skutkiem wybuchu ogień. Okazuje się jednak z tego, jakiem to strasznem niebezpieczeństwem dla miasta jest to laboratoryum chemiczne, znajdujące się w pasażu Mikolaschów. Cała dzielnica wyleciaby w powietrze, gdyby straż ogniowa nie zdążyła na czas ugasić ognia. Skonstatowano przy tej sposobności, że w owem laboratoryum panuje niesłychany nieporządek; podobno aż coś sześć fur śmiecia wywieziono po ugaszeniu pożaru. Piękne to porządki w mieście i pięknie czuwa magistrat nad bezpieczeństwem mieszkańców.

**Rezultaty w leczeniu raka.** Dr. A. Renault poświęcił w *La presse médicinale* długi, gorący artykuł profesorowi Adamkiewiczowi. Nie wiemy, czy znaną jest czytelnikom naszym sprawa tego polskiego uczonego. Używamy wyrazu „sprawa" nie bez powodu... Doświadczenia laboratoryjne i kliniczne pozwoliły prof. Adamkiewiczowi dojść do wniosku, że wyciąg z tkanek rakowatych, będący w istocie trójmetylową zasadą tlenku amoniowego, połączony z karbolem i kwasem cytrynowym, działa bardzo skutecznie na raka, jeśli się go wstrzyknie w pewnej określonej dawce pod skórę. Prof. Adamkiewicz nazwał wspomniane wyżej ciało kankroiną i przedstawił rozmaitym uczonym Towarzystwom szereg wypadków, gdzie kankroina wywarła niezaprzeczenie leczniczy skutek. Środek Adamkiewicza wydał w ręku kilku innych lekarzy klinicznych rezultaty mniej pewne. Przyszło stąd do polemik zajadłych w Krakowie, a potem w Wiedniu, dokąd przeniósł się polski uczony. Znaleźli się nawet tacy, co rzucili klątwę na śmiałka, myślącego o wyleczeniu raka.

W istocie jedyny błąd, jakiego dopuścił się prof. Adamkiewicz, polegał w tem, że przecenił wówczas swój środek, zbyt mało jeszcze wypróbowany. Kankroina nie leczyła wszystkich wypadków raka i wywoływała niekiedy silną reakcyę. Zawiści koleżeńskiej to wystarczyło, aby mógł rozledz się okrzyk: „Hajże na Soplicę!"

Po kilku latach prof. Adamkiewicz wprowadził pewne udoskonalenia do swej metody i w takim to stanie dr. Renault, wytrawny publicysta, prymaryusz szpitala św. Ludwika w Paryżu, przedstawił ją francuskim czytelnikom. Przytoczył w *Presse médicinale* około dziesiątka wypadków zdeklarowanego raka najrozmaitszych organów (język, pierś, przełyk), gdzie w ostatniej instancyi zwrócono się do wstrzykiwań kankroiny i uzyskano wyleczenie! Obrona Polaka przez francuskiego uczonego zaszczyt nam przynosi.

**Nowego pasożyta** wykrył profesor uniwersytetu w Birminghamie, dr. Whistler. Jest to mały robaczek z gatunku *philariensis.* Osiada on i mnoży się u ludzi, którzy ust nie płuczą w wierzchnich powłokach podniebienia i ust, wywołując naprzód nieznaczne swędzenie, później zaś silny obrzęk. Przenosi się najczęściej za pomocą mleka, w którem jednak ginie, jeśli je ugotować.

**Zmarli.** Błażej Lis Rudnicki, właściciel dóbr ziemskich, zmarł w majątku swoim w Topolnicy w 39 roku życia.

**Stan powietrza.** T. o g. 6 rano + 12 w poł. + 17 Bar. 768. Podnosi się. Pogodnie.

**Ze świata sportowego.**

— I cóż?... Przerwaliście waszą wycieczkę na automobilu?

— A no, tak. Przejechaliśmy babę, przejechaliśmy emeryta, znowu emeryta, potem kaczkę, potem... Za trzynastem przejechaniem, żona moja powiada: „Halt! dalej nie pojadę! Może wydarzyć się nieszczęście..." Taka przesądna!





# Widowiska i koncerty.

**Teatr miejski.** We wtorek, we środę i we czwartek „Bandyci," operetka Offenbacha.

**Repertuar letniego teatru ludowego** przy ul. Kochanowskiego l. 23. We wtorek występ p. Adolfiny Zimajer po raz pierwszy „Żony Jafeta", operetka w 3 a. Marsa i Desvallières. — We czwartek po raz drugi „Żony Jafeta." Przedostatni występ A. Zimajer.

**Cyrk.** Dziś we wtorek „Dreyfus, skazaniec na wyspie dyabelskiej," wielka wystawna pantomina, przedstawiona przez 200 osób, 30 koni i dwie orkiestry.

**Colosseum.** Od soboty 1 sierpnia codziennie o godz. 8 wieczór wspaniały program nowości, 10 pierwszorzędnych atrakcyi. W niedzielę i święta dwa przedstawienia, o godz. 4 popoł. i 8 wieczór.

# Część ekonomiczna.

§ **Konferencya w sprawie taryf cukrowych.** Z Wiednia telegrafują co następuje: W ministerstwie kolejowem odbyła się wczoraj konferencya między zastępcami zarządów kolei prywatnych, czeskiego i galicyjskiego Wydziału krajowego, tudzież przedstawicielami ministerstwa kolei. Radzca ministeryalny w ministerstwie kolejowem Buschmann zaznaczył, że ministerstwo kolei proponuje zastąpienie wyjątkowej taryfy I przez wyjątkową taryfę II dla buraków cukrowych, jakoteż zaprowadzenia niższych opłat frachtowych dla pokrewnych produktów. Zastępcy kolei południowej oświadczyli, że kolej ta przewozi cukier dla konsumcyi wewnętrznej tak samo, jak cukier eksportowy, po niższych cenach, aniżeli koleje niemieckie; dlatego nie może zgodzić się na jeszcze dalsze zniżenie cen przewozu. Zastępcy innych kolei prywatnych zajęli również oporne stanowisko wobec żądania rządu, zwłaszcza, że zdaniem ich jest to jeszcze wątpliwe, czy brukselska konwencya przyniesie taką szkodę przemysłowcom cukrowym, jak oni twierdzą. Zastępcy czeskiego Wydziału krajowego oświadczyli się przeciw ogólnemu zniżeniu taryf na czeskich kolejach lokalnych, będących w zarządzie państwa, podczas gdy zastępcy galicyjskiego Wydziału krajowego przychylili się do zniżenia taryf. Wobec stanowiska zarządów kolei prywatnych, oświadczył radzca Buschmann, iż ministerstwo kolei musi się wstrzymać z dalszemi postanowieniami.

§ **Wiedeń** 11 sierpnia. Na poniedziałkowy targ spędzono bydła rogatego, przeznaczonego na rzeź ogółem 4840 sztuk. W tem było z Galicyi 162 sztuk, z Bukowiny 35 sztuk. Przebieg targu był spokojny. Ceny niezmienione. Niesprzedanych pozostało 5 7. Wołów z Galicyi i Bukowiny sprzedano 32 sztuk po 62 do 66 koron, 49 po 68 do 73, 105 po 74—78, 18 sztuk po 79—80. Buhaje podtuczone bez różnicy pochodzenia kupowano po 58 do 74 koron, krowy podtuczone po 56 do 70 koron, bydło chude po 42 do 56 koron — wszystko licząc za centnar metryczny żywej wagi.

# Z targów zbożowych.

**Wiedeń,** 9 sierpnia.

(Z.). Ostatnie sprawozdanie węgierskiego ministeryum rolnictwa taksuje przeciętny zbiór pszenicy na Węgrzech na 6·85 centnara metr. z morga katastralnego, ogólny zaś zbiór w całych Węgrzech na 39,730.000 centnarów metrycznych. Cyfra ta odpowiada mniej więcej zeszłorocznemu zbiorowi, zatem ilościowo jest tegoroczny sprzęt pszenicy na Węgrzech zupełnie dobry. Nie można tego jednak powiedzieć o jakości zebranego ziarna. W urzędowem sprawozdaniu węgierskiem czytamy, że prawie nigdzie jakość zebranego zboża nie odpowiada oczekiwaniom, jakie żywiono, skarżą się zwłaszcza na to, że kolor pszenicy jest blady i nie ma tego połysku, który cechuje pierwszorzędne marki handlowe. Dużo jest także ziarna rdzawego, które młyny dopiero chyba w ostatecznej potrzebie kupują. Wogóle do tej pory młynarze bardzo są jeszcze wstrzemięźliwi z zakupnem, ale z drugiej strony i rolnicy wcale nie narzucają się ze swoim towarem, lecz czekają. Widocznie rolnicy węgierscy nie odczuwają w tym roku tak wielkiej potrzeby pieniędzy, jak to ma zwykle miejsce o tej porze, i postanowili zaczekać, czy stosunki targu nie ułożą się dla nich korzystniej. Sami nawet podwyższyli oni ostatnimi czasy cenę pszenicy tak, że przy tej cenie eksport jej za granicę państwa jest znów wykluczony. Że mogli zająć takie stanowisko, to przypisać należy temu, iż zeszłoroczne doskonałe żniwa wzmocniły ich finansowo, a nadto temu, iż sprzedaż ubocznych produktów rolniczych stanowi dla nich na razie pokaźne źródło dochodów. Nadto zauważyć można i to niezwykłe zjawisko, że chłopi węgierscy obecnie twardziej obstają przy wysokich cenach, niż obszary dworskie. Zazwyczaj tuż po żniwach znaczna podaż zboża włościańskiego wywiera nacisk na ceny, gdyż włościanin potrzebuje koniecznie pieniędzy, w tym roku zaś skonstatowano już w wielu wypadkach, iż wielkie gospodarstwa ofiarują swój towar taniej, niż włościanie.

W jęczmieniu sezonowy ruch handlowy, który rozwinął się był już dosyć znacznie w ubiegłym tygodniu, znów ustał. Wielcy kupcy czekają bowiem na rezultat zbiorów w państwach ościennych i one dopiero dadzą im racyonalną podstawę do ułożenia cen, obecnie zaś zaspokajają tylko najpilniejsze potrzeby konsumcyi.

Wymłót nowego zboża odbywa się w tym roku na Węgrzech o wiele powolniej niż zazwyczaj i to także jest jedną z przyczyn, iż stosunkowo mało towaru widzimy na targu.

Dzisiejszy stan zapasów głównych gatunków ziarna, nagromadzonych w Wiedniu, jest następujący: pszenicy 47 wagonów, żyta 69, jęczmienia 35, owsa 400, kukurudzy 152, soczewicy 38 wagonów.

Płacono loco Wiedeń: Za pszenicę cisańską starą (78 do 82 kilo) 8·35—8·65, za nową (78 do 80 kilo) 8·25—8·40, za słowacką nową (75 do 80 kilo) 7·65—8·00, dolno-austryacką (76 do 80 kilo) 7·50—8·00.

Żyto potaniało o 5 do 10 halerzy. Za żyto słowackie nowe płacono 6·60—6·70, rozmaite węgierskie nowe 6·45—6·70, austryackie nowe wagi 72 do 73 kilo 6·45—6·55, cięższe wagi 73 do 76 kilo 6·55—6·70.

Za jęczmień loco stacya kolei, płacono: za morawski tak zw. merkantylny 6·80—7·25, morawski prima żółty 7·50—7·80, morawski prima biały 7·75—8·15, słowacki merkantylny 6·25—6·75, prima żółty 6·75—7·75, północno-węgierski merkantylny 6·00—6·50, prima 6·75 do 7·50.

Za owies węgierski w poślednich gatunkach płacono 5·75—5·85, średnie gatunki do 5·90—6·10, prima 6·15—6·60.

Za kukurudzę węgierską płacono 6·50 do 6·70, Cinquantin 7·50—8·00.

# TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

*(Depesze poranne).*

**Wiedeń** 11 sierpnia. Komendant 15 korpusu jen. Appel ukończył już dochodzenia w sprawie marszu w okolicy Bilek, skutkiem którego zginęło kilkunastu żołnierzy. Sprawozdanie wykazuje, że marsze takie, dokonywane na podstawie specyalnych przepisów dla okolic Krasu, z łatwością wykonywały wojska w różnych porach i okolicznościach. Jednakże w danym wypadku stwierdzono, że zaopatrzenie żołnierzy w wodę było niedostateczne, a powtóre komendant zaniechał zarządzić odpowiedniego odpoczynku i postarać się w ostatniej chwili o wodę. Nie poczyniono też dalszych zarządzeń, kiedy się już katastrofa zaczęła. Wszystko to razem, wobec temperatury 37 stopni Reaumura spowodowało takie rozmiary katastrofy. Zarząd wojskowy wyciągnął stąd konsekwencye, mianowicie usunął niektóre osoby ze stanowiska i poczynił zarządzenia, aby się fakt taki nie powtórzył.

**Budapeszt** 11 sierpnia. *Budapester Correspondenz* donosi, że Cesarz przyjedzie z końcem bieżącego tygodnia do Gödöllö, gdzie pozostanie aż do zażegnania przesilenia.

**Waszyngton** 11 sierpnia. Departament marynarki zaprzecza wiadomości, jakoby europejska eskadra Stanów Zjednoczonych miała być wysłana na wody wschodnie. Eskadra pozostanie do grudnia na morzu Śródziemnem, poczem odpłynie do Ameryki.

**Rzym** 11 sierpnia. Papież przyjął wczoraj na audyencyi kilku kardynałów, między innymi kardynała Gruschę.

**Ischl** 11 sierpnia. Minister spraw zagranicznych hr. Gołuchowski był wczoraj o godzinie pół do 10 na audyencyi u bawiącego tu króla rumuńskiego, a o godzinie 10 u Cesarza. O godzinie 11½ Cesarz i król rumuński z świtami i dygnitarzami dworskimi udali się do Aussee, dokąd przybyli o godzinie 12½, witani owacyjnie przez gości kąpielowych i ludność, poczem udali się do hotelu nad jeziorem, gdzie zjedli obiad.

**Aussee** 11 sierpnia. Wczoraj w południe padał deszcz bez przerwy tak, że projektowana wycieczka Cesarza i króla rumuńskiego do Grundelsee nie przyszła do skutku. Monarchowie wrócili o godz. 3 m. 50 popoł. do Ischlu. Cesarz odprowadził króla Karola do hotelu. Wieczorem odbył się w willi cesarskiej obiad.

**Wiedeń** 11 sierpnia. Dr. Koerber powrócił tu z Ratot (z wizyty u Szella).

**Kraków** 11 sierpnia. Z jedenastu krajów zjechali się uczestnicy kongresu geologicznego w Krakowie. Przybyli mianowicie przedstawiciele Francyi, Anglii, Węgier, Niemiec, Serbii, Rosyi, Rumunii, Bułgaryi, Szwecyi i Szwajcaryi, wreszcie przedstawiciel wschodu Japończyk Koto. Znaczna część uczestników przybyła w sobotę wieczór, reszta w niedzielę rano; tego dnia rano o 7 godzinie udała się jedna grupa do Krzeszowic. Po powrocie odbył się o 7 wieczór bankiet w Grandhotelu. Wzniesiono szereg toastów w różnych językach. Wczoraj o ½9 rano udali się uczestnicy zjazdu do Wieliczki.

**Kijów** 11 sierpnia. Ruch tramwajowy podjęto na nowo. Większość piekarń wskutek strejku zamknięta. Kozacy i piechota przeciągają przez miasto. Wszelkich zgromadzeń robotników surowo zakazano. Restauracye są zamknięte.

*(Depesze popołudniowe).*

**Paryż** 11 sierpnia. Wczoraj o godzinie 7 wieczorem zapalił się nagle próżny wagon podziemnej miejskiej kolei elektrycznej „Metropolitaine", w dzielnicy Ménilmontant. W tej chwili nadjechał przepełniony pociąg; wskutek nagromadzonego dymu i płomieni musiał się zatrzymać. Jakkolwiek podróżni szybko opuścili pociąg, mimo to mnóstwo osób dostało ataku duszności, wskutek czego poczęto chorych z dworca wynosić. Z powodu jednak ciżby, a także i tej okoliczności, że nie było służby podostatkiem, jakoteż i tego, że kolej ta podziemna znajduje się na znacznej głębokości, wiele osób w dymie udusiło się. Do godziny 3 nad ranem skostatowano 7 wypadków śmierci wskutek uduszenia się.

**Paryż** 11 sierpnia. O godz. 6 rano liczba osób, które utraciły życie w katastrofie w dzielnicy Menilmontant, wynosiła 56. W tej liczbie jest 44 mężczyzn, 10 kobiet i 2 dzieci. — Nieszczęśliwi należą w przeważnej części do klasy robotniczej. Wszystkie zwłoki noszą wyraźne symptomy śmierci przez uduszenie.

**Paryż** 11 sierpnia. Według sporządzonego w prefekturze policyi urzędowego zestawienia, w katastrofie na kolei podziemnej utraciło życie 82 osób, mianowicie 61 mężczyzn, 17 kobiet, 4 dzieci.

**Kraków** 11 sierpnia. Wczoraj wieczorem o godz. ½10 zmarł tu x. dr. Wincenty Smoczyński, prałat Ojca św., proboszcz parafii św. Floryana na Kleparzu, w wieku 61 lat. Zmarły był kilkanaście lat na wygnaniu w Syberyi.

**Wiedeń** 11 sierpnia. *Wiener Ztg.* ogłasza: Minister oświaty zamianował głównego nauczyciela w seminaryum w Zaleszczykach, Włodzimierza Markowskiego, głównym nauczycielem w seminaryum w Stanisławowie.

## HOTEL GEORGE'A.

Przyjechali dnia 11 sierpnia. Ks. J. Puzynina z Narola. J. Feuerstein z Drohobycza. K. Gromnicki, hr. M. Chodkiewicz i J. Sumowski z Rosyi. D. Ratner z Odessy. Hr. N. Potocka z Zatora. Hr. J. Mycielski z Krakewa. W. Graf z Gotha.

## HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

*Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.*

Przyjechali dnia 11 sierpnia. L. Biliński z Sanoka. J. Burzyński i L. Jenicz z Rosyi. G. Dondorf z Mostów wielkich. W. Zelazowski z Poznania. S. Zwolscy z Brzeżan. L. br. Wattmann z Rudy rożanieckiej. E. Stubnicka z Dembicy. W. Hansen i S. Thorn z Wiednia. F. Jaruntowski z Twierdzy. F. Kowalewski z Równego. W. Baron z Turki. J. Pfleger z Oleszyc. J. Weisser z Sassowa. W. Filek z Czerniowiec. J. Sokołowski z Łukawca. W. Słoneccy z Trojanu. M. Nowaccy ze Stanisławowa. W. Nestorowicz z Ustrzyk. L. Borkowska z Rosyi.

## HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 11 sierpnia. Hr. M. Dunin Borkowski i J. Piszczkowski z Mielnicy. W. Dyakowski z Rygi. Hr. J. Koziebrodzki z Dźwiniaczki. M. Passotti z Zurychu. L. Rogall z Berlina. Szambelan K. Wisłocki z Worobijówki. M. Lakner i H. Wolff z Wiednia. J. Madeyski z Hołoskowic. J. Tarnopolski z Odessy.

## Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.







**Wiedeń** 11 sierpnia. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

| | |
|---|---|
| Austr. zakł. kred. z obl. pr. z r. 1890 3% | 289.— |
| " " " " z r. 1889 3% | 000.00 |
| Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m. k. 4% | 278.00 |
| Uregulow. Dunaju z r. 1880 100 zł. 5% | 281.50 |
| Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% | 259.— |
| Pożyczka serbska prem. po 100 frank. 2% | 87.— |
| Tureckie obl. prem. kolej. po 400 frank. | 119.— |

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 18.90. Zakładu kred. dla handl. i przem. po 100 zł. 436.00, Clary 40 zł. m. k. 166.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 83.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 80.00, Pożyczka m. Lublany 20 zł. 72.00, Ofen 40 zł. 167.00, Palfty 40 zł. m. k. 172.00. Czerwonego krzyża austryackie 10 zł. 54.00, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 27.35, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 68.—, Salma 40.00, m. k. 221.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 81.00 zł. Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 250.00, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 460.—.

**Wiedeń** 11 sierpnia. (Giełda towarowa). Cukier 21·40. Spirytus osłabiony. Nafta niezmieniona.

**Berlin** 11 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·20. Spirytus 00·00.

**Paryż** 11 sierpnia. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·80. Mąka („Fleur de Paris") 30·10.

**Frankfurt** 11 sierpnia. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 208·10. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 187·30. Laura 230·40.

**Budapeszt** 11 sierpnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 7·29—7·30, na kwiecień 7·55—7·56; żyto na październik 6·14—6·15, na kwiecień 6·37—6·38; owies na październik 5·30—5·31, na kwiecień 5·55—5·56; kukurudza na sierpień 6·12—6·13, na wrzesień 6·14—6·15, na maj 1904 4·91—4·92. Rzepak na sierpień 10·75—10·85. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna: ograniczona. — Usposobienie: spokojne. Pogoda: wiatr.

**Giełda południowa** (godzina 12 minut 30) Wiedeń 11 sierpnia.

Marki 117.45, renta majowa 100.35, węgierska renta koronowa 98.90, akcye: austr. zakł. kredyt. 662.00, węg. zakł. kred. 731·50, anglobanku 273.50, unionbanku 524.—, bankvereinu 475.—, länderbanku 409·50, kolei państw. 668.25, lombardy 80.00, akcye kolei Elbethal 425·50, fabryki broni 000.—, tytoniowe 362.50, alpiny 361.50, Rima Muranyi 450 50, prag. Tow. żel. 0.000, losy tureckie 118·75, ruble 253.00. Usposobienie: spokojne.

**Lwów** 11 sierpnia. (Z izby handlowej). Obliczenie w walucie koronowej.

**Akcye** za 100 K: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 575.— do 585.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 535 00 do 545 00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron —·— do 350·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

**Listy zastawne** za sztukę: Banku hip t. galic 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc prem. 111·25 do 000.00. 4 i pół proc los w 50 lat 100.80 do 000·00, 4 proc. los w 60 lat 97 80 do 00·00 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 102.00 do 102·70. Banku kraj 4 proc. los w 57 lat 98·75 do 99.45 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc (I emisya) 98 50 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 99·50 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98 55 do 99 25.

**Obligi** za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc 99.80—100.50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 103.00 do —.—. Kom. Banku kraj 5 proc. (II em) 101.70 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.80 do 99.50. Pożyczki kraj z roku 1873 4½ proc, —.— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 99.30—100.00, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 96 80 do 00.00, 4½% po 200 koron 101.50 do 000.00.

**Monety.** Dukat cesarski 11.24—11.40. Napoleondor 19.00 do 19.20. Sto rubli papierowych 252.00—254 50. Sto marek 117.10 do 117.80.

## Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1903 roku według czasu środkowo-europejskiego.

### Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*.
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.30 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.35, 5.06, 10.02*.
Z Tarnopola: 3.20* (na dw. gł.) 3.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.***, **1.40**, 6.20, 5.40, 9.20*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.35, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.55.
Z Janowa: 7.40, 1.25, 9.25*, 10.07* (od 17/5 w niedziele i święta).
Z Brzuchowic: 8.15 (od 17/5), 8.14 (od 17/5 w niedziele i święta), 8.04* (od 17/5 w niedziele i święta), 8.25* (od 15/5 w dni powszednie), 9.12* (od 17/5 w niedziele święta).
Z Tuchli: 4.35 (od 15/6).
Ze Skolego: 4.35 (od 1/5).
Z Pustomyt: 9.35 (od 1/6 w niedziele i święta).

### Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.10*, 8.35, 6.15*, 10.55*.
Do Rzeszowa: 3.25.
Do Przemyśla: 7.20*.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9.—*, 11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24.
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2.51***, **2.40**, 6.22, 10.35, 10.42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Janowa: 9.15, 1.14 (od 17/5 w niedz. i święta), 3.15, 6.30*, 9.55 (od 17/5 w niedziele i święta).
Do Brzuchowic: 7.05* (od 17/5), 2.10 (od 17/5 w niedz. i święta), 3.30 (od 15/5), 8.14* (od 17/5 w niedziele i święta).
Do Tuchli: 3.05 (od 15/6).
Do Skolego 3.05 (od 1/5).
Do Pustomyt: 1.55 (od 1/6).

**Uwaga.** Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

# Czerwona gałka.

Było to za czasów Olivera Kromwela.

Pułkownik Mifer był najmłodszym pułkownikiem w całej armii. Miał zaledwie trzydzieści lat, pomimo to uważano go za doświadczonego i dzielnego żołnierza i dlatego dobił się sławy i wysokiego stopnia.

Nagle spotkał go cios okrutny — ciemne chmury zaćmiły jasny horyzont jego życia.

Był długi wieczór zimowy. Na dworze szalała zamieć, w pokoju panowała cisza głęboka. Pułkownik i młoda jego żona powiedzieli sobie już wszystko, podzielili się bólem. Teraz siedzieli przed kominkiem, milcząc i czekając...

— Zaraz przyjdzie Abbie — odezwał się pułkownik — obetrzyj łzy i udawajmy wobec niej spokój...

Na progu ukazała się mała siedmioletnia dziewczynka. Obfite sploty jasnych włosów spadały na nocną koszulkę. Pułkownik chwycił ją w objęcia i okrył małą główkę pocałunkami.

— Ech, ojczulku! Potargałeś mnie, gniewam się na ciebie.

— Nie gniewaj się, Abbie! Powiem ci za to bajkę...

Nagle rodzice wstrzymali oddech. Słychać jakieś kroki, coraz bliżej, bliżej... Nie, minęły i ucichły w dali.

— Więc jaką chcesz bajkę, wesołą?

— Nie ojczulku, lepiej straszną! Nie można zawsze słuchać tylko wesołych bajek. I piastunka mówiła mnie, że ludziom nie zawsze wesoło. Czy to prawda?

Matka westchnęła, a ojciec odparł smutno:

— Prawda, dziecię. Na świecie bywają nieszczęścia. To smutne, ale to prawda.

— Więc powiedz bajkę smutną, straszną, abyśmy myśleli, że to nas spotkało nieszczęście. Usiądź mateczko obok i daj mi rękę, abym się nie bała. No, opowiadaj ojczulku!

— Dobrze. Było sobie trzech pułkowników...

— Takich, jak ty?

— Takich... Na wojnie przedewszystkiem trzeba zachowywać karność. Pułkownikom nakazano udać napad na nieprzyjaciela, aby zasłonić odwrót głównych sił, lecz oni, porwani zapałem, napadli naprawdę na nieprzyjaciela, rozbili go i zmusili do ucieczki. Głównodowodzący rozgniewał się i chociaż nie mógł zganić im waleczności, kazał ich oddać pod sąd wojenny.

— Głównodowodzący to Kromwel, ojczulku, prawda? Ja go widziałam... Przejeżdżał często obok naszego domu, zawsze gniewny; myślałam sobie, że wszyscy się go boją. Ale ja się nie boję, zawsze patrzał na mnie tak łagodnie.

— Cicho, sroczko! Słuchaj dalej! Pułkowników aresztowano i przywieziono do Londynu. Tu puszczono ich na słowo honoru do domu, aby mogli się pożegnać z rodziną...

Znów kroki... Nie, ucichły.

Młoda kobieta przytuliła się do męża; siły ją opuszczały.

— Dziś właśnie rano przyjechali do Londynu.

Dziecko otworzyło szeroko oczy zdumione.

— Ojczulku, to nie bajka, to prawda?

— Tak dziecię!

— Ach, jak to dobrze! No, mów dalej... Czego płaczesz mateczko?

— Nie, Abbie... myślałam o biednych rodzinach...

— Nie płacz, wszystko się dobrze skończy, zobaczysz... Mów, ojczulku, prędko, jak się to skończyło i jak potem wszyscy byli szczęśliwi.

— Naprzód zaprowadzono ich do więzienia. Sąd wojenny skazał ich na rozstrzelanie.

— Jakto, zabić?

— Tak.

— Ach, jacy to źli ludzie! Mamo, nie płacz! wszystko będzie dobrze...

— Więc trzech pułkowników...

— Ty ich znasz, ojczulku?

— Tak, Abbie, skazano na śmierć. Wszyscy się tem zmartwili i sami nawet sędziowie poszli prosić głównodowodzącego o ułaskawienie. Lecz Kromwel odpowiedział, że pułkownicy muszą być ukarani dla przykładu. Wezwał ich do siebie i zapytał, jakby postąpili na jego miejscu. Odpowiedzieli, że wiedzą dobrze, iż zasłużyli na karę śmierci. To wzruszyło głównodowodzącego i po krótkim namyśle kazał im ciągnąć losy. Jeden umrze, dwaj zostaną przy życiu. Pułkownicy odmówili.

— Dlaczego, ojczulku?

— Odpowiedzieli, że losów ciągnąć nie chcą i wolą umrzeć razem...

Znów kroki... Miarowe kroki żołnierskie...

— W imieniu prawa — otworzyć!

— Ach to żołnierze, ja tak lubię żołnierzy! Otwórzmy im sama...

Zeskoczyła z kolan ojca i otworzyła drzwi szeroko.

— Proszę wejść! Ojczulku, to grenadyerzy!

Wszedł oddział żołnierzy, oficer oddał ukłon wojskowy, pułkownik milczący i poważny odpowiedział takim samym ukłonem... Młoda kobieta stała blada, jak śmierć, lecz na pozór spokojna, a dziecko patrzało na wszystkich zachwycone...

Jeszcze jeden uścisk długi, gorący.

— Naprzód, marsz!

— ...Widzisz, mamo, czy nie mówiłam, że wszystko się dobrze skończy? Teraz ojciec poszedł do więzienia uwolnić pułkowników!

— Biedne dziecko, biedna sierota! — szeptała nieszczęśliwa matka, przyciskając dziewczynkę do piersi.

* * *

Nazajutrz młoda kobieta zachorowała ciężko. Lekarze i dozorczynie otoczyli łóżko. Abbie nie wpuszczano do pokoju chorej. Dziewczynka ubrała się i niespostrzeżona przez nikogo, wybiegła na ulicę. Przyszło jej na myśl, aby uprzedzić o chorobie matki ojca, który jest w cytadeli i nie wie o niczem.

O tej, samej porze Kromwel wezwał do siebie sędziów. Stał na środku pokoju surowy, nieruchomy. Jeden z sędziów przemówił pierwszy:

— Na nic się nie przydały nasze namowy. Losów rzucać nie chcą, wolą umrzeć razem.

Kromwel się zachmurzył.

— Dobrze, losy będzie ciągnął kto inny. Więźniów przyprowadzić do sąsiedniego pokoju i ustawić twarzą do ściany, ze związanemi w tył rękoma.

Potem zawołał dyżurnego adjutanta i kazał przyprowadzić pierwsze dziecko, spotkane na ulicy.

Adjutant na podwórzu spotkał małą Abbie i powrócił z nią natychmiast.

Dziewczynka poznała Kromwela, przed którym drżeli najpierwsi dygnitarze państwa, wdrapała się na jego kolana i rzekła:

— Ja pana znam, panie Kromwel! Widywałam pana — gdy przejeżdżałeś obok naszego domu. Nigdy się pana nie bałam, jak wszyscy. Czy pan mnie pamięta?

Kromwel się uśmiechnął.

— Przykro mi, ale...

— Zapomniał pan mnie, prawda?

— Tak, ale teraz nigdy o tobie, dziecko, nie zapomnę, daję ci słowo. Podobna jesteś do mojej dziewczynki, której już nie ma na świecie... Dawno to już było...

— Jaki pan dobry! Proszę mnie pocałować.

— Z przyjemnością, dziecko. Powiedz mi, czego żądasz, wszystko dla ciebie zrobię.

Dziewczynka klasnęła w rączki z uciechy, gdy nagle usłyszała za drzwiami miarowe kroki żołnierzy.

— Żołnierze, żołnierze! Chcę ich zobaczyć.

— Zaraz, dziecko, poczekaj chwilkę.

Kromwel wziął ze stołu trzy gałki drewniane, dwie białe, jedną czerwoną. Czerwona oznaczała śmierć.

— Jakie ładne kulki! Czy to dla mnie? I ta czerwona?

— Nie, dziecko, to nie dla ciebie. Zajrzyj do drugiego pokoju. Zobaczysz tam trzech ludzi, stojących twarzą do ściany, z rękoma wyciągniętemi w tył. Zbliż się do nich i każdemu włóż w rękę jedną gałkę. Potem przyjdź do mnie.

Abbie zniknęła za kotarą, a Kromwel pozostał sam.

— Chyba Bóg sam podał mi tę myśl — mówił do siebie — i wskaże, kto ma zostać przy życiu...

Tymczasem dziewczynka w drugim pokoju z ciekawością patrzała na żołnierzy i trzy stojące nieruchomo pod ścianą postacie.

Nagle się uśmiechnęła.

— To ojczulek — szepnęła cicho — poznałam go. Dam mu najładniejszą gałkę czerwoną...

Uśmiechnięta podeszła na paluszkach, złożyła gałki w wyciągniętych dłoniach, potem zawołała wesoło:

— Ojczulku, zobacz, co masz! To ja ci dałam.

Pułkownik spojrzał na gałkę, potem padł na kolana i uściskał dziecko, które wydało nań wyrok śmierci. Żołnierze, oficerowie i więźniowie stali nieruchomo, zdjęci grozą chwili. Po chwili z kilku piersi męskich rozległ się płacz, straszny płacz męski...

Oficer dyżurny zbliżył się do pułkownika i dotykając jego ramienia, odezwał się cicho:

— Niestety, obowiązek zmusza mnie...

— Do czego? — wesoło spytało dziecko.

— Odprowadzić twego ojca...

— Nie można. Mama chora, ojciec musi iść ze mną do domu. Chodźmy, ojczulku...

— Nie mogę... Muszę iść z nim...

Dziewczynka tupnęła nóżką na oficera.

— Przecież powiedziałam panu, że mama chora i musimy iść zaraz do domu.

— Dałbym wiele, aby uczynić, co chcesz, mała... Naprzód, marsz!

Abbie skoczyła do sąsiedniego pokoju i powróciła, prowadząc za rękę Kromwela. Na widok dyktatora wszyscy stanęli jak wryci.

— Panie! Mama chora i ojciec musi iść ze mną, a oni mnie nie słuchają i chcą go zabrać.

Kromwel drgnął.

— Jakto! To twój ojciec?

— Ach, tak, przecieżbym komu innemu nie dała tej ładnej, czerwonej gałki!

— Boże! — wyszeptał Kromwel — o mało się nie spełniła straszna zbrodnia.

Abbie straciła już cierpliwość.

— Każ go uwolnić — wołała z płaczem. — Powiedziałeś, że zrobisz wszystko, co będę chciała, a nie chcesz uwolnić ojczulka...

Łagodny uśmiech rozjaśnił surową twarz Kromwela. Wziął dziecko za rączkę i rzekł:

— Dzięki Bogu, nie przyszedłem za późno! Masz słuszność, dziecko; przyrzekłem, że uczynię, co zechcesz i słowa muszę dotrzymać. Pułkowniku, jesteś wolny! Weź córeczkę i śpiesz do domu!

*Mark Twain.*



Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.